19 maja 1866. Nr. 20. Rok I.

Wychodzi we Lwowie co sobotę, arkusz lub półtora.
Prenumerata w miejscu: 6 zł. 50 ct. rocznie — 3 zł. 25 ct. półrocznie — 1 zł. 65 ct. kwartalnie — 55 ct. miesięcznie.
Numer pojedyńczy kosztuje 15 ct.

Zamiejscowa w Austrji: 7 zł. rocznie — 3 zł. 50 ct. półrocznie — 1 zł. 80 ct. kwartalnie — 60 ct. miesięcznie.
Redakcja i administracja pod l. 554²/₄ przy ulicy Szerokiej.
Expedycja i miejscowa prenumerata w księgarni J. Milikowskiego.

TYGODNIK NAUKOWY I LITERACKI.

O widzeniu tonów.

Wykład prof. Dr. Feliksa Strzeleckiego.

(Dokończenie.)

Połączmy z ciałem mającem wydawać ton albo dźwięk lekki listek metalowy, albo maleńkie piórko za pomocą kawałeczka wosku. Niechaj szczyt tego listka albo piórka dotyka się powierzchni, na której ślady ruchu swego zostawiać może, np. papierowej albo szklannej powierzchni powleczonej warstewką kopciu. Wprawmyż teraz owo ciało, a więc i listek albo piórko w drganiu, posuwając powierzchnię papieru albo szkła okopconego, to listek lub piórko zdejmując kopeć z miejsc, po których przebiega, nakreśli swe drgania w kształcie linji falistej. Każdy przyrząd służący do urzeczywistnienia tej prostej zasady nazywa się fonografem, tonopisem, a pismo tym sposobem otrzymane fonogramem, pismem tonowem. Najpierw wprowadził powyższą zasadę w życie Wilhelm Weber w r. 1830, on przeto jest wynalazcą fonografji.

Przypatrzymy się natychmiast działaniu fonografu wzmiankowanego już akustyka Königa. Walec z mocnej blachy, osadzony na osi żelaznej, daje się obracać za pomocą korby około tej osi, i posuwać równocześnie wzdłuż tej osi za pomocą śruby na końcu osi wyrzniętej. Około walca tego owinięty jest papier okopcony, którego brzegi zlepione są gumą. Do jednego ramienia tych widełek muzycznych przylepiony jest woskiem delikatny listek metalowy, dotykający się papieru okopconego. Gdy widełki nie wydając tonu w spoczynku zostają, to podczas obrotu korbą nakreśli listek na papierze linję śrubową, a więc linję, która zdjąwszy papier z walca i wypłaszczywszy go stanie się linją prostą. Gdy zaś widełka a więc i listek drgania odbywają, to listek nakreśli wzdłuż owej linji śrubowej linję wężykowatą, która przedstawiać nam będzie obraz ruchu listka a więc i widełek. Ten fonogram wykazać nam także może, ile drgań odbywało się w każdej sekundzie. Do tego potrzeba tylko przyrządu, któryby naznaczał czas na papierze. Przyrządem takim może być ten zegar tak urządzony, ażeby sztyfcik z nim połączony w pewnych odstępach czasu uderzał o papier okopcony. Znając czas pomiędzy dwoma uderzeniami upływający potrzeba tylko policzyć, ile wypukłości znajduje się na linji wężykowatej między dwoma następnemi znaczkami zegaru, a wiedzieć będziemy, ile w tym czasie odbyło się drgań.

Gdy dwie widełki równocześnie zapisują drgania swoje, będzie można odczytać na fonogramie stosunek między ich liczbami drgań w równym czasie. Trzeba tylko na fonogramie poprowadzić dwie linje poprzeczne do linij wężykowatych, i policzyć drgania między temi poprzecznemi. Jeżeli na jednej linji wężykowatej będzie ich np. 20, na drugiej 30, to w czasie, gdy pierwsze widełki robią 20 drgań, drugie robią ich 30. Gdybyśmy oraz wiedzieli, ile drgań wykonują np. pierwsze widełki w każdej sekundzie, moglibyśmy obliczyć ile i drugie widełki robią ich w każdej sekundzie. Tak tedy widełki o wiadomej liczbie drgań w każdej sekundzie zastąpić mogą ów zegar zapisujący czas.

Na papierze okopconym walca tego mogą zapisywać ruchy swoje także tromby, klarnety, w ogólności jakiekolwiek piszczałki. Do przenoszenia ruchów tych instrumentów na papier służy fonograf błonowy Skota i Königa. Nad szerszym otworem tej wielkiej rury wydaje piszczałka ton. Ruchy jej przenosi powietrze w tej rurze będące do błony napiętej nad węższym otworem fonografu błonowego. Na błonie tej osadzone jest piorko, które dotykając się papieru okopconego kreśli na nim ruchy swoje, a więc i ruchy błony i piszczałki.

Na zasadzie fonografu błonowego i na zasadzie wynalazku Wertheima tj. tego wynalazku, że drut żelazny zaczyna wydawać tony, gdy około niego przebiegają silne, często przerywane prądy elektryczne usiłował Reis zbudować przyrząd, za pomocą którego miał nadzieję, tony wywoływane w jednem miejscu udzielać odległym miejscom, a więc np. koncert jakiej sławnej śpiewaczki dać słyszeć równocześnie kilkom miastom. Przyrząd ten nazwał *telefon.* Nadzieje jego nie ziściły się. I do telegrafu okazał się telefon niepraktycznym.

Wszakże przedstawił Pepper, dyrektor instytutu polytechnicznego w Londynie publiczności londyńskiej koncert odgrywany w odległym miejscu. Na scenie stały cztery harfy. Do deki każdej przytwierdzono krótki suchy pręt świrkowy. Cztery inne długie pręty świrkowe, wystając cokolwiek nad podłogę, sięgały aż do piwnicy. Jeden z tych prętów dotykał się w piwnicy fortepianu, drugi wiolonceli, trzeci skrzypców, czwarty klarnetu. W piwnicy grano na tych instrumentach koncert, ale nie można go było słyszeć na scenie, gdy pręty na harfach nie dotykały się prętów do piwnicy poprowadzonych. Gdy zaś połączono pręty na harfach z prętami do owych instrumentów przytwierdzonemi, słyszano koncert bardzo wyraźnie w skutek resonancji prętów i harf, tylko ton wiolonceli był trochę chrapliwy.

Fonografy, któreśmy dotychczas poznali, zapisują ruchy odpowiednie tylko jednemu ciału ton wydającemu. Atoli są i takie fonografy, które nam podają ruchy, jakie wypadają w skutek równoczesnego drgania dwóch ciał. Tu widzimy fonograf do zapisywania równoległych drgań w dwóch różnych ciałach. Do ramienia tych widełek przytwierdzona jest okopcona płyta szklanna; do ramienia zaś tych drugich widełek lekki listek metalowy dotykający się płyty szklannej. Wprawiwszy obie widełki w ruch, posuniemy widełki z listkiem po szynie równoległej do długości płyty szklannej, a listek nakreśli na płycie ruch, jaki wypada ze składu ruchów obydwóch widełek. Ten sam fonograf można także tak ustawić, że drgania widełek będą prostopadłe jedne do drugich. Fonogram przedstawi nam ruch wypadkowy z drgań widełek prostopadłych.

Wszystkie fonogramy czyli pisma tonów nie tylko podają nam obraz ruchu ciał, od których pochodzą, mogą one nam także dać wyobrażenie o samym akcie ruchu tego. Proszę przykryć linję wężykowatą fonogramu papierkiem, w którym wycięta jest wąziutka szczelina, tak aby tylko jeden biały punkt linji wężykowatej widzieć można i proszę posuwać papierek przykrywający wzdłuż linji wężykowatej na prawo albo na lewo, to przebiegające pod szczeliną punkta linji wężykowatej naśladować będą ruch ciała, od którego pismo pochodzi, tylko będzie ten ruch powolniejszy, a więc wyraźniej go będzie można widzieć. Proszę sobie zrobić ten experymencik łatwy a zajmujący.

Fonografja przedstawia nam ruchy ciał wydających tony po akcie wydawania tonów. Wszakże podał pan Lissajous, fizyk francuski, bardzo piękne metody optyczne, dozwalające widzieć te ruchy podczas samego aktu wydawania tonów. Na ten cel noszą widełki akustyczne na jednem ramieniu małe źwierciadełko

stalowe, na drugiem zaś ciężarek równoważący źwierciadełku. Promienie światła pochodzące od mocno świecącego punktu padają na to źwierciadełko, a odbiwszy się od niego zostają skupione za pośrednictwem soczewki tak, że tworzą na tarczy papierowej obraz punktu świecącego. Gdy widełki a więc i źwierciadełko zostają w spoczynku, będzie też i ten obraz spoczywał. Gdy zaś widełki a więc i źwierciadełka są w ruchu, będzie i obraz na tarczy podobnie się ruszał. Ponieważ ruch obrazu na tarczy odbywa się tak prędko, jak ruch widełek, a zatem bardzo spiesznie, i ponieważ wrażenie, jakie wywołuje w oku ruszający się obraz przechodząc przez którykolwiek punkt swej drogi trwa w oku jakiś czas, a nawet dłuższy czas, jak ten, w którym ten obraz drogę swoją obiega, przeto cała droga obrazu na tarczy będzie świecącą, będziemy więc widzieć obraz ruchu widełek.

Jeżeli tylko jedne widełki drgają, widzimy, że obraz porusza się w linji prostej tam i nazad. Ruch ten odpowiedni pojedyńczemu tonowi odbywa się podług tego samego prawa, co ruch wahadła mało co się wychylającego ze swego miejsca spoczynku. Obraz znajdując się na jednym z końców linji świecącej spoczywa chwilowo, potem zbliża się coraz prędzej do środka linji świecącej, do tego punktu, w którym spoczywał, gdy widełki nie wydawały tonu, przez punkt ten przechodzi najspieszniej na drugą stronę, po której zwalnia ruch, dostaje się na drugi koniec linji świecącej, gdzie znowu chwilkę spoczywa, i rozpoczyna to ruch podobny, jak w pierwszym końcu. Ruch takowy nazywa się **drganiem wahadłowem**. Stan ruchu w którymkolwiek punkcie tej linji zowie się **fazą** drgania punktowi temu odpowiednią.

Gdy promienie światła odbiwszy się od źwierciadełka widełek padają na źwierciadełko drugich widełek, to podczas drgania obu widełek obraz na tarczy opisywać będzie drogę, jaka wypada ze składu obydwóch ruchów.

Teraz zestawione są dwie widełki wydające ten sam ton tak, że drgania ich są **równoległe** jedne do drugich. Ruch wypadkowy w tym razie będzie się odbywał także w prostej linji, atoli długość tej linji zawisłą będzie od tego, jakie fazy równocześnie się zchodzą. Jeżeli fazy zchodzące się równocześnie są zgodne, tj. jeżeli np. w chwili, gdy w skutek jednego drgania ma się znajdować punkt na końcu linji świecącej, temu drganiu odpowiedniej, i w skutek drugiego drgania ma być po tej samej stronie na końcu linji świecącej, drugiemu drganiu odpowiedniej, wypadająca linja świecąca będzie tak długa, jak obie składowe linje świecące razem wzięte. Jeżeli zaś fazy różnią się o połowę drgania, tj. jeżeli np. w chwili, gdy w skutek jednego drgania ma się znajdować punkt na końcu dotyczącej linji świecącej, w skutek drugiego ma być na przeciwnym końcu linji świecącej drugiego drgania, natenczas długość wypadającej linji świecącej będzie równą różnicy obu linji świecących składowych. Gdyby w tym przypadku obie składowe linje świecące były równie długie, obraz na tarczy zostawałby w spoczynku pomimo ruchu widełek. Jeżeli nareszcie fazy drgania nie są ani zupełnie zgodne ani zupełnie przeciwne, wypadać będzie linja świecąca dłuższa lub krótsza według różnicy faz.

Jeżeli obie widełki nie wydają równej ilości drgań w każdej sekundzie, ale różnica tych drgań jest bardzo mała, natenczas długość linji świecącej wypadkowej zmieniać się będzie. Zachodzić tu bowiem będą zacząwszy od przypadku zgodnych faz aż do przypadku przeciwnych faz wszystkie możliwe różnice fazowe a więc linja świecąca wypadkowa zacząwszy od największej swej długości, zgodnym fazom odpowiedniej skracać się będzie aż do najmniejszej swej długości, przeciwnym fazom odpowiedniej. Objawi się nam przeto najmniejsza różnica w wysokości dwóch tonów, a to bez pomocy ucha. Może zatem nawet człowiek niemuzykalny, a nawet i głuchy nastroić najdoskonalej dwie widełki, skracając np. pilnikiem ramiona jednych albo drugich dopóty, aż linja świecąca obydwom widełkom odpowiednia stałą zyska długość.

Jeszcze dokładniej oceni oko stosunek wysokości dwóch tonów, gdy drgania ciał je wydających będą prostopadłe jedne do drugich. Linja świecąca na tarczy nie będzie w tym przypadku prostą, lecz w ogólności krzywą. Każda taka linja krzywa nazywa się **figurą pana Lissajous**. Kształt jej zależy od stosunku tonów i od różnicy fazowej. Teraz zestawione są dwie widełki o równej prawie wysokości tonu tak, że drgania ich są prostopadłe jedne do drugich. Linja świecąca na tarczy jest owalem, tak zwaną elipsą. Gdyby obie widełki zupełnie się zgadzały w wysokości tonu, czyli jakto mówią muzycy, były zupełnie *unisono*, elipsa ta byłaby stałego kształtu, któryby zależał od różnicy faz drgań pojedyńczych. Gdy zaś widełki różnią się cokolwiek w wysokości tonu, elipsa ta zmienia się, przechodząc przez wszystkie kształty, odpowiednie wszystkim możliwym różnicom fazowym.

Zestawimy teraz prostopadle jedne do drugich dwie widełki z których jedne wydają ton o **oktawę** wyższy, a więc drgają dwa razy tak prędko, jak drugie. Figura pana Lissajous, temu przypadkowi odpowiednia, jest taka. Widzimy, że i ta figura się przemienia, dowodząc nam przezto, że jeden ton nie jest matematycznie oktawą drugiego. Nadto widzimy, że figura ta ma z każdego boku dwa szczyty, u góry i u dołu po jednym. Ilość szczytów z boku i u góry odpowiada więc stosunkowi tonów. Z boku jest dwa szczyty, u góry jeden; tony mają się też do siebie jak 2 : 1. Podług ilości szczytów można przeto osądzić stosunek tonów, a podług tego, czy figura się prędzej lub pomalej przemienia, lub wcale nie przemienia, dokładność tego stosunku.

Wysokość tonów tych dwóch widełek mają się do siebie jak 3 : 1, jeden ton jest przeto **duodecimą** drugiego; widzimy też 3 szczyty z boku, u góry jeden. Ponieważ figura się przemienia, nie jest ten stosunek dokładnym.

Teraz przypatrzymy się duetowi dwóch tonów, których wysokości są w stosunku jak 3 : 2, z których przeto pierwszy jest **kwintą** drugiego. Figura pana Lissajous ma 3 szczyty z boku, a dwa u góry. Zmienia ona się także.

Nakoniec zobaczymy akord dwóch tonów, których wysokości są w stosunku jak 4 : 3, z których przeto pierwszy jest **kwartą** drugiego. Figura ma 4 szczyty z boku, a 3 u góry. Ponieważ się bardzo pomału przemienia, jest ten stosunek dosyć dokładnym.

KOLENDA

na korzyść braci tułaczy kształcących się we Francji

przez Karola Balińskiego.

(Dokończenie.)

Ah! jak ciężko samotnemu
Iść po smutnej ścieżce życia!
Ach! jak trudno ubogiemu
Zimnych serc przyspieszać bicia!
Toż już słabe mdleją siły!
Duch jest — ale wątłe ciało.
Trzebaż spocząć u mogiły
Bo już w piersiach tchu nie stało!

Hej! ojcowie nasi lacey!
Hej orłowie wy karpaccy!
Dajcie skrzydeł samotnemu
Wędrowcowi ztrudzonemu;
Moje dawno poszły w szmaty:
Tam o mury — tam o kraty!
Chciałbym całą Polskę zlecieć,
Z myślą świętą niby zorzą,
Całej Polsce nią zaświecić,
Och! nie moją, ale Bożą!
Waszych skrzydeł pragnę lotu,
Waszych pieśni dajcie grzmotu,
By od niego Polska cała
Łzami matki zapłakała

Nad tą dziatwą swą rodzoną,
Jak sierota opuszczoną.

* * *

Jeszcze chwilka bracia moi!
Co to tam się we mgłach roi?
Napowietrznych tłum postaci...
Ach to mary zgasłych braci!
Biedni bracia, co zwątpili
I o Polsce i o Bogu,
I rozpaczą się zabili
W obcej ziemi — w obcym progu;
Ale nawet w skonu chwili
Legli z pieśnią przeciw wrogu,
Łaski carskiej nie żebrali,
Podsuwaną podeptali.
Toż choć grzeszni, jednak biali,
Toż choć grzeszni, nie przeklęci,
I nie poszli w zatracenie.
Lecz nad Polską zawiśnięci
Błądzą śladem marne cienie.
Jak za życia do niej dążą,
Do niej tęsknią, za nią krążą.
Już, już blizko — już, już w dłoni,
Już krok tylko stąpić nogą,
Wtem wiatr dmuchnie i odgoni!
Krok już tylko — i nie mogą!
Drogich braci błędne mary!
Grzech zwątpienia wam zawadza,
I od Polski wciąż odgradza,
Bo Polski nie ma bez wiary!
Bo tażsama wiedzie droga
Do Polski co i do Boga!

Straszne, straszne ich cierpienie!
Prośmyż im o przebaczenie.
Droga ich była ciernista!
Ciągle, ciągle w łzach powieki!
Serca w ciągłym krwawym boju,
W tęsknocie i niepokoju!
Prośmyż dla nich o spocznienie
I niech światłość wiekuista
Świeci im na wieki.

Wyjątek z życia wygnańca

podług opowiadania spisał
Feliks Ko........

(Ciąg dalszy.)

Walczyłem ze sobą... myśli i uczucia splecione w jeden chaos przesuwały się nawalnie i... nie wiem czy Bóg czy anioł złego natchnął mi list następujący:

›Pani!

List p. Eliny nic mi nie zwiastował takiego, czegobym się już nie domyślał niestety! Ręczę jej jednak słowem honoru człowieka i Polaka, że nigdy — nawet najlżejszem spojrzeniem lub słowem nie starałem się rozwinąć tego nieszczęsnego uczucia. Owszem, jak nawet sama p. Elina pisze: jestem smutny, zamyślony, ale marmurowo zimny i obojętny!

Czyjaż zatem wina?... Byłbym zaraz w początkach opuścił dom p. Senneville, lecz pierwsze oznaki rodzącego się w p. Elinie uczucia brałem za stan jej zdrowia chorobliwy, za działanie zbyt egzaltowanej imaginacji!

Nie taję, że ją kocham — nie taję, że posiadanie tego anioła byłoby najwyższem szczęściem dla mnie, ale... choćbym mógł tysiąc razy więcej ubóstwiać p. Elinę — nie będzie ona nigdy moją żoną!

Pani! może mnie nie pojmiesz zupełnie, ale racz tych kilka wyrazów posłuchać:

Jestem członkiem biednej, umęczonej rodziny polskiej — jako syn tej świętej ziemi łez i boleści, nie zależę od siebie i nie mam prawa (nawet dla własnego i drugich szczęścia) piętnować ciężkim krzyżem wygnania cudzoziemską kobietę, która — choćby i najszlachetniejsza — dałaby mi jednak synów Francuzów, którzy ssąc z mlekiem matki przywiązanie do ojczystej ziemi — nie byliby Polakami.

Oh, Pani! powiedz — czy ja mam prawo ojczyźnie mej wydzierać przyszłych obrońców lub mścicieli?... Czy ja mam prawo świętą krew matki Polki, co w mych żyłach płynie, mieszać z krwią cudzoziemską — aby obie wydały owoc do dwóch stref należący?... Nigdy!.. Dzieci nasze w ojczyźnie — już drobnemi rączkami chwytają szable ojców i cisną je do młodocianych piersi... Dzieciom już — krew nasza purpurowa twarz zalewa i łono rozpiera, gdy dźwięk narodowych hymnów usłyszą — szum ciemnych borów naszych i szmer Wisły uroczej — tej rzeki łez polskiego cmętarza!... Bo wszyscy, przez krew co na stu spłynęła szafotach, przez rozdarte żywe łona matek naszych, jesteśmy skuci z świętą ziemią naszą na wieki — na wieki!...

Jeszcze raz zatem pytam Cię Pani, powiedz: czy dzieci Eliny będą takiemi?... czy, gdyby im przyszło konać na polskim krzyżu — szubienicy... powiedz! konaliżby oni z uśmiechem wesela na licach?... czy ostatnie ich słowo byłoby: ›Matko! dla ciebie giniemy ciałem, aby zmartwychwstać duchem na szeregach mogił poprzedników — aby ztamtąd nad tobą czuwać ubóstwiona!

Przebacz pani! może zbyt exaltowanie skreśliłem ci mój sposób myślenia — ale ja sam sobie sto podobnych zadawałem pytań nieraz — i zawsze głos serca mi odpowiedział: ›Nie będziesz wprowadzał na ziemię twoją i pod rodzinną strzechę twoją obcej krwi i obcego ciała... aby przyszli męczennicy wolności twej rodzicielki byli prochami prochów twoich i kością z kości twoich!‹

To tylko zaręczyć Ci Pani mogę, że jeżeli policzonymi są dni Eliny — umrze szczęśliwą!

Z uszanowaniem

Edward Ch.....‹

Zadzwoniłem na odźwiernego i wręczyłem mu ten list z rozkazem natychmiastowego zaniesienia go na pocztę.

Dziwna walka najsprzeczniejszych uczuć toczyła się w mem sercu.

Z jednej strony stanęła biedna ojczyzna nasza, żądając odemnie jako od członka swego, poświęcenia się bez granic — żądała ciała i krwi mojej — duszy i serca i wszystkich myśli moich — pokazując mi kajdanami poranione ręce, ukoronowane cierniem skronie, na białej wyniosłej szyi siwe ślady tysiąca stryczków — w rozdartem łonie tysiąc kul i noży najezdnika.

Cichy, harmonijny głos jej, jak szum borów naszych o księżycowym wieczorze szeptał mi w łzawą, drżącą melodję: ›Synu! zachowaj się dla mnie, matki twojej — com cię krwią piersi karmiła — myjąc gorzkiemi łzami ócz moich — kołysząc w takt jęków stu tysięcy męczenników kopalni carskich. Synu, coś się bawił u stóp szubienic twej młodszej braci, coś wzrastał i rozwijał się na zlanym krwią moją bruku miasta — synu mój!... pójdź za mną.. dla mnie tylko poświęć dni życia twego!‹

I wyciągałem ręce do wschodu namiętnie — oczy żywszym płonęły blaskiem! Kołysanemu rojem marzeń pełnych uroku — migała w dali biała, rodzinna chata, otulona w wianek lip rozłożystych — bułany konik rzał niecierpliwie u wrót domostwa, a jam ściskał w objęciach matkę staruszkę, co mnie łzą i krzyżykiem błogosławiła na boje — ściskałem ojcowską szablę w dłoni rwiąc się sercem i duszą całą w zielone nasze bory, dźwięczące wesołą pieśnią partyzanckiej wiary!...

Potem naraz ciemna chmura zasłoniła jasny błękit naszego nieba, z niej gromy i błyskawice wylatywały na stary nasz gród ukochanego Mazowsza — a na środkowym placu klęczał w żałobie lud modląc się około wysokiej szubienicy... Jam powoli — z powagą wstępował na szczeble drabiny, rzucając spokojnem

*

okiem na tłumy, co wyciągały załamane dłonie do nieba... i kładłem ochoczo głowę w wiązadło stryczka — bom wierzył w nieśmiertelność — w sercach rycerskich współbraci!...

Z drugiej strony malowała mi się giętka, wysmukła postać Eliny, z rozpuszczonym włosem, z dużemi, ciemno-błękitnemi oczyma, co na mnie z miłością i upojeniem patrzyły... Srebrny, łzami tłumiony głos jej szeptał do mego ucha te wyrazy pełne ognistej lawy uczuć, których żadne nie określi pióro. Otoczyła szyję mą drobnemi rączkami i usta jej wszczepiały w moje tysiącem pocałunków błagalną prośbę dziewczęcia: »nie opuszczaj mnie — nie opuszczaj przez litość«...

Głowa moja płonęła.

Jak się wywikłać?... jak wyjść z tego labiryntu różnorodnych uczuć?...

Z jednej strony miłość ojczyzny nakazuje poświęcenie się, stłumienie zażgnionego uczucia. Z drugiej — szczęście całego życia do mnie się uśmiecha i mimowoli wkrada do głębi łona twierdzenie, że oba te uczucia można pogodzić i zadowolnić!

Próżnobym ci opisywał, com przecierpiał w tych kilku chwilach!

Powoli jednakże wszystko uspokajać się zaczęło — gdy lekkie skrzypnięcie drzwi i szelest kroków zwrócił moją uwagę.

Była to Marynia, cioteczna siostra Eliny.

— Panie Edwardzie — rzekła — Elince na chwilę wróciła przytomność i prosi pana do siebie koniecznie!

W parę minut potem wchodziłem do pokoju chorej.

Blada i nadzwyczajnie zmieniona leżała na łóżku z zamkniętemi oczyma. Długie kosy złotych włosów spływały w nieładzie po poduszkach, zwieszając się aż na poręcz obok stojącego fotelu. Prawdziwie piękną była przy bladem połysku lampy, co twarz jej smętną oświecał — podobną do twarzy bolejącej Madonny!... Zdawało mi się, że ów smętny anioł z gwiazdą na czole, co dumał nad ciałem Anhellego, zwrócił się tutaj na Zachód i przybrał postać dziewczęcia. Sądziłem że zasnęła; zbliżywszy się więc cicho na palcach do łóżka, usiadłem w fotelu nie chcąc jej budzić — lecz prawie natychmiast podniosła z wysileniem głowę i wymowny jej wzrok błękitny spotkał się z moim, a na licach mocny wykolorował się rumieniec.

— Dziś zapewne lepiej jest pani?... rzekłem biorąc jej rękę.

— Oh, lepiej!... zupełnie dobrze — szepnęła patrząc mi w oczy ciągle. — Gdyby tak całe życie...

— Doktor mówił, że za dni parę zdolną pani będziesz wychodzić! — powiedziałem, chcąc pocieszyć trochę.

Uśmiechnęła się smutno w odpowiedzi i czułem, jak jej gorąca dłoń ściskała moją.

A wzrok jej przybierał coraz namiętniejszy — gorączkowy prawie wyraz — lica drgały i płonęły się coraz bardziej...

— Pani zapewne ma mi co do rozkazania? — zapytałem chcąc cofnąć rękę.

— Oh! nie — rzekła — nic do rozkazania, tylko mam do pana prośbę... modlitwę prawie — i gorące jej usta raptownie dotknęły mej dłoni!...

Zanim zdołałem słowo wymówić, zarzuciła mi obie rączki na szyję i tuląc się namiętnie do mnie i dotykając twarzą mej twarzy, szepnęła:

— Kochaj mię!... kochaj choć trochę Edwardzie... bo ja — ja bez ciebie żyć nie mogę! Oh! gdybyś wiedział, jak ja cię ubóstwiam!!... gdybyś wiedział, ile dni i nocy przemarzyłam o tobie biedna...

I usta jej zawisły na moich — a płynął z nich ogień i żar nieopisany — i trawił, pochłaniał całą moją istotę.

Któż zdoła się oprzeć pierwszym dziewiczym pocałunkom kochanej kobiety?...

Chwil parę głęboka w pokoju panowała cisza — przerywana tylko przyspieszonym oddechem jej łona, co białe i przejrzyste jak z marmuru Carrary wykute, tuliło się do mej płonącej piersi.

— O słuchaj!... mój jedyny... mój święty! — szeptało biedne dziewczę — jam nie Polka, to prawda... lecz ja sprowadzę ojczystej twej ziemi i przykryję nią nasz ogródek cały, aby dzieci twoje po własnym mogły stąpać gruncie... i nauczę się twej mowy, abym im mogła ojczyste pieśni przy kolebce śpiewać!.. ale kochaj mnie Edwardzie! kochaj choć trochę!...

Krew uderzała jej co chwila do twarzy, oczy obłąkany wyraz przybierać zaczęły... i znów uściśnienia i pocałunki namiętne... aż przechyliła jasną swą główkę na moje ramię... i zasnęła, we śnie jeszcze szepcząc: kochaj mnie! kochaj choć trochę Edwardzie!

— A więc miłość prawdziwa istnieje? — powtarzałem sobie patrząc z czcią religijną na śpiące w mych ramionach dziewczę!

O przebacz mi ojczyzno moja! przebacz, że łamię własną zasadę i przed godziną napisane słowa... ale — możeż chrześcijanin z zimną krwią zabić tę czystą, nieskalaną duszę?... Matko ojczyzno! w dziesięciu walkach rozkosznie dawałem za ciebie życie, w tysiącu innych oddam je, gdy rozkażesz... ale błagam cię: pozwól mi z tą dziewicą połączyć dni życia mego i przebacz, że zmieszam krew moją... ale to także krew szlachetna!

— Ach! jak ona cię kocha! — rzekł ktoś za mną półgłosem. Odwróciłem lekko głowę, nie chcąc budzić Eliny i spostrzegłem starego Senneville, patrzącego z rozkoszą w uroczą twarz córki.

— Słuchaj! — mówił głos zniżając. — Wiem wszystko! uwiadomiła mnie dzisiaj pani Marja D. z Lyonu o miłości biednej Eliny... a teraz słyszałem całą waszą rozmowę!

— Ja cię nie gniewam — ciągnął dalej, biorąc mnie za rękę — ale ty Edwardzie nie zabijesz mi córki, mego jedynego dziecięcia!...

I z właściwą sobie porywczością:

— Za rok się pobierzecie dopiero... bo należy ci ją bliżej poznać... zresztą przez ten czas Elinę po polsku uczyć będziesz... a potem... no — chyba wszyscy do Galicji pojedziemy — bo ci tam przecie wrócić pozwolą?...

. . . .

Szybko wracała Elina do zdrowia, bo na wszelkie choroby najlepszym lekarzem jest podzielana miłość.

W tydzień po tem, o cichym letnim poranku, w altanie, wpół schylona w mem objęciu, blada jeszcze lecz wesoła i czarująca niewinną prostotą, brała pierwszą lekcję polskiego języka.

Na cóż ci mam opowiadać — mówił mi Edward — ile dni uroczych, pełnych miłości i upojenia zbiegło nam błyskawicy lotem?... Ile razy jej usta w dźwięcznej naszej mowie powtórzyły mi (dopiero co nauczone słowa) »kocham — i będę zawsze kochała«. To były najpiękniejsze dni w mem życiu! Czy ty uwierzysz Feliksie, że ja nie raz dziękowałem Bogu za żywot mój wygnańczy — gdyż w nim znalazłem anioła, co mnie skrzydły swemi otaczał, kołysząc na najcudniejszych marzeń szarfach... Dziękowałem Bogu i wierzyłem, że On to chcąc osłodzić gorzki rozdział z rodzinną ziemią, usypał na ciernistej drodze tułacza kwiaty... ażeby rozkosznie prześniwszy dni boleści — był całym, zdrowym i potężnym w ogromny dzień zmartwychwstania!

Ale nie długo byłem szczęśliwym! Biedny szaleniec, myślałem, że szczęście które w moich ramionach trzymam, odbiedz nigdy nie może — że anioł, co zstąpił na ziemię dla pocieszenia bladego tułacza, nie powróci więcej w błękity!

Opowiadanie moje zbliża się do końca!

Po trzech miesiącach zdrowie Eliny widocznie pogorszać się zaczęło. Doktorzy odkryli w jej organizmie zarody śmiertelnej choroby — przepisując mieszkanie pod cieniem cyprysów włoskiego nieba i kąpiele morskie, jako jedyny jeszcze środek ratunku.

Ojciec mej narzeczonej nie mógł opuścić interesów, z ciotką więc tylko i jej dziećmi udaliśmy się do Tulonu.

Jak dziś pamiętam, był to dzień 6 października, cichy, spokojny, pełen balsamicznej woni — na błękitnem niebie Francji

rysowały się gór szczyty, z po za których strojne w purpurę słońce ostatnim promieniem żegnało srebrne fale śródziemnego morza.

Na tyle pocztowego parowca ›l'Ésperance‹, w fotelu przysunionym do złoconego abordażu galerji, siedziała Elina blada, smutna, śledząc łzawem spojrzeniem oddalający się ląd stały.

Ja ją trzymałem za rękę, patrząc z niemą rozpaczą na kwiatek ten, co już w wiośnie życia chylił się powoli do mogiły.

Ah! Feliksie — jeżeliś ty kochał kiedy — jeżeliś był tak jak ja kochanym — to pojmiesz, co się w duszy mojej działo.

Nikogo prócz nas nie było na pokładzie.

Ja ukląkłem u stóp jej i przechyliwszy głowę na kolana ukochanej, patrzałem w piękne jej lice, napróżno starając się wstrzymać łzy, co mnie mężczyźnie drgały u powieki.

— *Elina!...* — szepnąłem obejmując ją memi dłońmi — *à quoi pensez-tu mon ange chèri?...*

Zbudzona z marzeń nachyliła swą główkę do mojej i rzekła ze smutnym uśmiechem:

— *Je fais mes adieux à la France — parce que je sais que je ne la reverrai plus!..*

— Ach jakież smutne przeznaczenie!

— Widzisz Edwardzie! — odparła — ja czuję, że życie moje długiem nie będzie — czuję, że tam,.. mogiła obcej ziemi przykryje moje ciało... ale z tem wszystkiem — jam szczęśliwa!... oh! nad wyraz i pojęcie ludzkie szczęśliwa — bo skonam na twoich rękach — patrząc w twarz twoją... i ostatnie słowo, co z gasnącej popłynie piersi, będzie: ›Ja ciebie kocham Edwardzie — kocham jak Boga i moją ojczyznę‹... I dodała cicho, tuląc swe lice płonące do mej twarzy: więcej jak Boga... więcej jak ojczyznę!... (D. n.)

Sprawa polska na kongresie wiedeńskim

przez

Bronisława Zamorskiego.

(Ciąg dalszy.)

VI.

Jeszcze 13 maja 1815 r. podpisał car Aleksander zasady do konstytucji przyszłego królestwa Polskiego, a to po odrzuceniu projektu ultra-arystokratycznego ks. Adama Czartoryskiego. Do ułożenia tych zasad mianował był car komitet złożony z prezesa senatu Ostrowskiego, ministra skarbu Matuszewicza, senatora ordynata Zamojskiego, i radzców stanu Linowskiego i Grabowskiego. Zasady do konstytucji ułożone przez tę komisję zawierały artykułów 37. Z tych artykuł I. zapowiada iż konstytucja będzie jak najwięcej zbliżoną do ustawy 3 maja 1791 r. W artykule 37, jest ta ważna, a w późniejszej konstytucji niezamieszczona klauzula, że ›Wielka księga konstytucji, którą nadaje cesarz, mieszkańcom królestwa Polskiego, ma być uważaną na zawsze, jako główny i najświętszy węzeł, którym to królestwo nieodzownie i na wieczność złączonem będzie z państwem Rosyjskiem tak w osobie cesarza jak i wszystkich późniejszych dziedziców i następców.›

Car utwierdzając wolnomyślne i przypominające przeszłość historyczną Polakom zasady do konstytucji, i to już 13 maja a więc w dziesięć dni po zawarciu traktatów 3. maja — umiał większą część ludności w błąd wprowadzić, zatwierdzone ›zasady› stały się w oczach wielu konstytucją, którą jako ówczas najwolnomyślniejszą podziwiała Europa, a z nią łatwowierni Polacy.

W dniu 25 maja, mając już zapewne w myśli usunięcie od siebie Kościuszki a później i księcia Adama Czartoryskiego uczynił car dla tem większego uspokojenia umysłów do Polaków odezwę, w której kłamliwie powtarza pobudki dla których nie dało się utworzyć całkowite królestwo Polskie, mianowicie: ›Że dobro każdego państwa w szczególności i potrzeba zaręczenia bezpieczeństwa wszystkim, nie pozwoliły zaprowadzić szczegółowych urządzeń, zastosowanych do miejscowych tylko interesów Polski, któreby nie były zgodne z interesem wszystkich i niezapewniały powszechnej w Europie równowagi... Nie żałowaliśmy żadnej ofiary (mówi car o sobie) dla oszczędzenia Europie nowych nieszczęść i zapewnienia spokojności świata... Usunięcia wszystkiego coby się stało przedmiotem wojny w Europie.›

Poczciwy car Aleksander czuł to najlepiej że Moskwie droga do Europy szła przez Polskę, tę złupić i posiąść było zasadą od dawna carów Moskwy. Roiło się coś takiego jeszcze Iwanowi Groźnemu, później Piotr zwany Wielkim, posunął dalej tę myśl a ostatecznie Katarzyna II. doprowadziła zamiar długo knowany do skutku. Obecnie car Aleksander po pokonaniu Napoleona I. zabrał się na nowo z całym zapałem do zagarnięcia Polski na rzecz swoją, w czem mu niestety szczerze dopomagali Polacy. Car Aleksander czując to silnie, że Polska niepodległa wyprze Moskwę od wpływu na Europę, uczyni ją barbarzyńsko-azjatycką — wszystko czynił co tylko mógł i nieżałował żadnej ofiary byle tylko niedopuścić Polski do niepodległości. Wszystkie jego knowania od r. 1805 aż po koniec rokowań dyplomatycznych w Wiedniu r. 1815 są tego dowodem; ale aby car nieżałował żadnej ofiary w uszczęśliwieniu Polaków, byłoby bezsensem sądzić, a car wyrażając się w swej obłudnej mowie do Polaków w ten sposób posunął swą bezczelność dyplomatyczną do tego stopnia, do jakiego ani przed nim ani po nim żaden człowiek stanu nie doprowadził.

Dnia 20 czerwca 1815 r. na mocy dekretu cara Aleksandra jako króla Polskiego instalowany został uroczyście ›Rząd tymczasowy królestwa Polskiego› w miejsce ›Rady Najwyższej tymczasowej księstwa Warszawskiego› ustanowionej poprzednio przez cara. Rząd tymczasowy ogłosił akt obdykacji króla Saskiego Fryderyka Augusta jako księcia Warszawskiego, proklamację Aleksandra z dnia 25 maja i wspomnione wyżej ›zasady› do konstytucji; w skutek czego musiały władze i wojsko wykonać przysięgę homagialną na wierność carowi Aleksandrowi. W składzie rządu tymczasowego byli Łanskoj, Nowosilców, Adam książę Czartoryski, Ostrowski, Matuszewicz, Zamojski, Linowski i Grabowski a później Lubecki.

Po takiem pierwszem uporządkowaniu nowego królestwa swego, przybył car do Warszawy w październiku, witany z niesłychaną pompą, a chcąc usunąć wszelkie możliwe wątpliwości u Polaków o swych ›dobrych chęciach,‹ a zarazem zatrzeć przykre wrażenie jakie sprawiło opuszczenie osoby cara przez Kościuszkę, i okazać się w całym blasku dobrodzieja i wspaniałomyślnego wskrzesiciela Polski, wystosował ponowną przemowę do łatwowiernych Polaków, którą ich do reszty otumanił i wywował wielki zapał i pochwały bez końca. Oto co prawił car zwany ›Złotoustym.›

›Polacy! nowe węzły połączą was z ludem szlachetnym, który przez dawne stosunki, przez męztwo godne waszego i przez wspólne z wami nazwisko słowiańskie, usposobionym jest przypuścić was do braterstwa, które będzie drogiem i pożytecznem dla obu stron. Konstytucja zastosowana do potrzeb miejscowych i charakteru waszego, użycie waszej mowy w aktach publicznych, urzędy powierzone samym tylko Polakom, wolność handlu i żeglugi, wasza armia narodowa, wszystkie te środki zagwarantowane wam dla wydoskonalenia waszych praw i wolnej oświaty; oto są korzyści, które wam zapewnia moje i moich następców panowanie, wam i waszym potomkom. To nowe państwo zwać się będzie królestwem Polskiem, imieniem tak żywo upragnionem, przyjętem przez naród a okupionem krwią i tak licznemi ofiary.‹

Tak zbierał car w Warszawie wawrzyny swoich usiłowań dyplomatycznych w Wiedniu w celu niby uszczęśliwienia Polaków, a Polska cieszyła się swoim królem i swoim bytem pozornie świetnym; gdy tymczasem niedawno jeszcze bratnia Francja broczyła się we krwi i upadała pod obuchem nieszczęścia. Uszczęśliwiona Polska z łaski króla-cara zapomniała o szlachetnej aliantce mając przy boku nowych ›szlachetnych‹ braci Moskali a swego króla ›zbawcę‹ u siebie w gościnie; bale, uroczystości,

ludowe igrzyska i wojskowe popisy szły jedne po drugich w Polsce gdy w tejże chwili w bratniej Francji zapomnianej i opuszczonej w nieszczęściu zupełnie inne rzeczy się działy.

Po nieszczęśliwej bitwie pod Waterloo — Napoleon 22 czerwca abdykuje w Paryżu na rzecz syna swego, sam uchodzi do Rochefort, gdzie przez Anglików niegodnie schwytany i na wyspę Św. Heleny wywieziony, aby tam ostatki smutnego życia w sześć lat dokonać; sprzymierzeni wkraczają do Paryża, po raz wtóry wprowadzając uroczyście Ludwika XVIII na tron, zawierają ponowny traktat Paryski 20 października, który zatwierdza układy wiedeńskie i pomniejsza terytorjum Francji do rozmiarów dzisiejszych z wyjątkiem Sabaudji, która Sardynji przyznaną została, naznacza Francji 100 miljonów franków kontrybucji, 700 miljonów franków zwrotu kosztów wojennych i utrzymanie 150.000 obcego wojska przez pięć lat na swym koszcie u siebie, ród Bonapartów wygnany z Francji z zaostrzeniem kary śmierci, *) marszałkowie i jenerałowie Francji częścią pozabijani w boju częścią na śmierć skazani lub na więzienie nieograniczone, sławny marszałek Ney i król Neapolitański Murat — rozstrzelani, wszyscy członkowie byłego konwentu narodowego skazani na wygnanie z zaostrzeniem kary śmierci. Francja pokryła się grubą żałobą po stracie tylu dzielnych synów ojczyzny.

Na gruzach drugiego cesarstwa sprzymierzeni zawierają przymierze święte, któremu początek dali cesarz Austrji Franciszek, car Moskwy Aleksander i król pruski Fryderyk Wilhelm. Do tego przymierza, ugruntowanego niby zasadami wiary chrześcijańskiej, musiały z czasem wszystkie państwa przystąpić — nawet rzeczpospolita szwajcarska — prócz stolicy apostolskiej i Anglji. Przymierze święte było związkiem przyjaznym monarchów, naznaczonych do rządzenia ludami od Boga, więc »gdyby te ludy gdziekolwiek burzyły się lub wolności większej pragnęły nad naznaczoną od prawowitego monarchy«, w celu przytłumienia dążności lub ruchów przyrzekli chrześciańscy monarchowie »wspierać się wzajemnie«. Idea świętego przymierza była więc zachowującą absolutyzm, uciskającą narody w imię chrześcjańskiego spokoju; idea ta była urąganiem religji i narodowości. To też ile razy rzecz szła o Polskę kongresową w poźniejszym jej bycie pod rządami Moskwy — święte przymierze podtrzymywane, popierane przez cara Aleksandra i skierowane głównie do widoków i celów wówczas najpotężniejszej Moskwy, stawało się dla tej Polski zgubnem, jak było zgubnem dla życia wszystkich narodów. Car Aleksander, ów uwielbiony zbawca Europy i wskrzesiciel Polski, był filarem głównym przymierza świętego; jak długo car Aleksander żył, przymierze święte w całej rozciągłości istniało i dopiero z śmiercią cara Aleksandra straciło na sile i znaczeniu, a tak mniemany »zbawca« i »wskrzesiciel« był raczej gnębicielem i zabójcą, a przymierze święte w dziejach Europy możnaby uważać za ową »niewolę moskiewską« i »knut moskiewski«, które wedle przepowiedni Napoleona I rozprzestrzenić miały swoje panowanie po całej Europie. Knutem moskiewskim zaciążył car związawszy się z Prusami w sprawach europejskich, roztrząsanych na kongresie w Wiedniu, i okuł tam w sposób okropny i zdradziecki Polskę w nowe pęta niewoli; po pokonaniu Napoleona I. po raz drugi — car za przyczyną przymierza świętego na długie lata siłę swego knuta i niewoli dał uczuć rządom i ludom Europy, które podziśdzień, oddawszy Polskę na pastwę Moskwy, pozbyć się nie mogą przewagi moskiewskiej w sprawach rządów, wolności, oświaty, religji i t. d. Carat moskiewski chce być koniecznie panem w Europie.

Pod wpływem też świeżo zawartego a zgubnego dla narodów a więc i dla Polaków przymierza świętego, przyjmował car deputację litewską, która wynikła z nadziei, jakie car Litwie jeszcze w r. 1811 czynił, a które na niczem spełzły. Było to tem boleśniejsze dla oszukanych Litwinów, bo sąsiednie nowo utworzone Królestwo Polskie cieszyło się pełnią mniemanego szczęścia, gdy tymczasem Litwa gnieciona była żelazną ręką niewoli moskiewskiej, dostarczając katom, Syberji i twierdzom moskiewskim licznego zasiłku w swych synach. W myśli więc przypomnienia carowi danych przyrzeczeń stanęła przed carem deputacja litewska w Warszawie 12 listopada. Po długich prośbach i to tylko z trzech gubernij dozwolił car zjawić się przed sobą deputacji t. j. z Wileńskiej, Grodzieńskiej i Mińskiej. Smutne było dla tej deputacji przyjęcie u cara, niegdyś łaskawy, słodki, uprzedzający i przesadny w grzeczności — teraz był dumnym, zimnym, chmurnym. Ta sama deputacja, która przed rokiem wychwalała cara Aleksandra jako ojca i dobrodzieja, teraz poznała w nim groźnego despotę moskiewskiego, przed którym wszystko korzyć się musiało. Na skromne przypomnienie carowi »danych przyrzeczeń« i prośbę o »ulżenie ucisku«, car gniewnie i kłamliwie odrzekł:

— »Wszystko zrobiłem co tylko było można, świadkiem jest Adam (Czartoryski), co mnie to kosztowało i jakie miałem do zwalczenia trudności w Wiedniu. Zrobiłem Królestwo i to na trwałej podstawie, bo zmusiłem mocarstwa Europy, że gwarantowały jego byt traktatami. Zrobię i resztę jak przyrzekłem, ale to nie może być od razu. — Trzeba zaufania, wszakżem na nie zasłużył; nie umię zmieniać, com raz postanowił. Lecz nie tykajcie strony zbyt delikatnej, którąby mnie skompromitowała... Nie zezwolę, abyście żądali przyłączenia waszych prowincyj do Polski, bo nie trzeba aby rozumiano, iż to wy tego żądacie. Trzeba, aby każdy był przekonany, że to z własnego mego wynika natchnienia, że ja tego chcę... Jeżeli ujrzę, że to królestwo potrafi być wzorem i że z tego żadne dla cesarstwa nie wynika niebezpieczeństwo, łatwo uskutecznię resztę... Raz jeszcze powtarzam wam, miejcie ufność i nie kompromitujcie mnie«.

A gdy Michał Ogiński miał tyle odwagi odezwać się do cara:

— »Czy Wasza cesarska Mość wiesz, że nam nie wolno wyrzec słowa: Polska?!«

Car z szatańską ironją i z prawdziwie carskiem lekceważeniem odpowiedział: »Nic nie wiedziałem o tem.« (D. n.)

*) Z dzisiejszego cesarza Francuzów Napoleona III i z tegoż rodu niezniesione to ustanowienie sprzymierzonych co do kary śmierci.

PIŚMIENNICTWO DLA LUDU.

II.

(Teofil Lenartowicz.)

Być prawdziwie dobrym pisarzem ludowym, zaiste wielkie to zadanie. Często natrafialiśmy na zdania, że byle przyswoić sobie kilka wyrażeń prowincjonalnych i wyrobić jaki taki zrozumiały styl, najłatwiej zyskać można potem rozgłos w tym zawodzie. Powiastki, gawędy, obrazki posypią się jak z rękawa: byle tylko w każdej świecił sens moralny by oliwa na wierzchu wody, ma się rozumieć z wmięszaniem kilkudziesięciu pospolitszych wyrazów, jak: setny, okrutny, ano, ino, moiściewy i t. p. Według podobnej recepty sporządzona miksturka powieściowa lub poetyczna, zamieszczona w kolumnach pisma ludowego z stosownie zpopularyzowanym pseudonimem autora zyska na pewne słuszne uznanie. Podobne, a niestety dość gęsto rozpowszechnione wyobrażenia o warunkach piśmiennictwa dla ludu napłodziły u nas niemałą liczbę powołanych, między którymi niestety jednak bardzo mało by znaleźć wybranych.

Wspominając w pierwszym zapisku o popularyzowaniu nauk dla ludu wskazaliśmy pole wdzięcznej pracy dla naszej piszącej młodzieży. Treściwy, zwięzły i przystępny wykład pierwszych zasad geografji, nauki rolnictwa, ekonomji i t. p. wymaga wprawdzie pracy, ale w każdym razie podobne dziełko prędzej może być spożytkowane, niżeli tysiące powieści ludowych, które wprawdzie z łatwością niejednemu przychodzą, lecz najczęściej prócz wyciągniętego w końcu sensu moralnego niczem się więcej nie zalecają. Napisać powieść dla chłopka, powieść, któraby mu przypadła do serca, w którejby on ujrzał wierne odzwierciedlenie siebie, swego życia, swoich uczuć, cierpień i namiętności, dobrych i złych, pięknych i plugawych stron życia, zastosować się doń z poglądem na otaczający go świat — czy zadanie to łatwe?

Przejrzeć do dna tę duszę w gruncie szlachetną, którą nędza, cierpienia i despotyzm przygniotły, skrytą i zasklepioną w sobie jak ślimak w skorupie przed światem — ukochać to, co on ukochał, upoetyzować sobie mały, otaczający go światek podobnie sercu prostaka i umieć dziś wierzyć tak silnie jak on, czy zadanie to łatwe? Nareszcie znaleźć leki na rozjątrzone rany duszy, usunąć niedowiarstwo ku podającym je, a więc stać się mu bratem od serca — czy zadanie to łatwe?

Uderzmy się w piersi i przyznajmy, czyśmy pomyśleli o tem siadając do napisania powieści dla ludu? Ogládnijmy się — czy z pomiędzy całego grona pisarzy dla ludu znajdzie się choć trzech lub czterech, którzyby tym warunkom odpowiedzieli?...

Wątpię...

Jednego mamy w całej literaturze naszej chłopa polskiego, jak gdyby już pod strzechą słomianą urodzonego, z sercem, co zda się że bije pod grubą siermięgą wieśniaczą, a które ukochało kraj swój i siermiężnych braci nie wykwintną, ale szczerą, otwartą, prawdziwie chłopską miłością. Jego piosenki zdolne przemówić do każdego serca, on jeden wżył się w to, czem lud nasz żyje, wesoły jego radością i łzawy jego niedolą!...

Czy znacie go?...

Mnie wiecznie jakby echo z pod obcego nieba po strunach serca budzi on piosenką:

Ach w niebie kraj taki
Jak nasze równiny,
A jakie chłopaki!,
A jakie dziewczyny,
Ach Boże jedyny!...
— — — — —
Ach kraj nasz tak błogi,
Że widząc te niwy,
Choć człowiek ubogi
A jednak szczęśliwy!..
— — — — —
I choć nie ma wiela
Bogactwa, wesela,
Chociaż więcej biedy
Niżli było kiedy,
Wspomnij jeno komu,
Że ma odejść z domu,
I z domu i z kraju,
Łzami się zaleje,
Na śmierć zatęsknieje
Po rodzinnym kraju!...
— — — — —
Nicby nie potrzeba
Do naszego nieba,
Jak tylko swobody,
Równości i zgody!

O dajże to Panie,
Niechaj się tak stanie
Dla polskiej krainy,
Mój Boże jedyny!

Śpiewak to Kaliny i Grajka mazowieckiego, autor Zachwycenia i Błogosławionej, o którym bardzo trafnie powiada jeden z nowszych krytyków poznańskich: »poeta narodowy, co okiem badacza zajrzał w serce bijące pod zdartą siermięgą i stworzył typy ludowe, nie eleganckie, nie wytworne formą, ale czyste, jasne, choć okopcone promieńmi skwarnego słońca, które śladami cieni się znaczą na pogodnem czole«.... ...»Lenartowicz nie szedł drogą właściwą wielu pisarzom, którzy nowicjat autorski rozpoczynają bolesną skargą na świat i na ludzi, którzy bawią lub męczą czytelników egoistycznym żalem doznanych zawodów, zawiedzionych uczuć, dla tego to także, wedle naszego zdania, Lenartowicz od razu stanął na wyżynie, na której stawa poeta polski wyższych natchnień po przebytych już próbach. Lenartowicz nie miał swej ziemskiej Beatrix, do którejby był wzdychał w pieśni, bo miał zimną, boleśną, wyższą, wielką Beatrix. Dla niej to porzucił najsamprzód mazowieckie lasy, dla niej opuścił wielkopolskie niwy, dla niej dziś z torbą tułaczą, z nabrzękłą od żalu źrenicą włóczy się po obcych ziemiach. Liryzm Lenartowicza nabiera wyższego znaczenia, ponieważ nie przemawia nigdy jako ja, ale raczej jako człowiek zbiorowy, w imię narodu, w imię ludu. Pieśni jego płynące szczerą łzą, dobyte z głębi rozstrojonej duszy, nacechowane rzewnością, rozgrzane miłością a oświecone wiarą, są pieśnią wielu — a może wszystkich.«

Kilka tych słów, wypowiedzianych z prawdziwie zdrowym i jasnym sądem, wydatnie charakteryzuje stanowisko naszego lirnika polskiego w obec współczesnych poetów i wagę jego pieśni w literaturze ludowej. Najwydatniejszą jego utworów cechą jest prostota myśli, owa naiwność wieśniacza, niewymuszoność i naturalność wyobrażeń, a przedewszystkiem wcielenie się w owe piękne tradycje ludowe i upoetyzowanie religji z świeżością, jakiejby mu najwięksi nasi poeci pozazdrościli. Świat idealny przenosi on w swoich poezjach w plastykę tak cudną, tak uroczą, a przytem naturalną, że czytając zda ci się, jakobyś widział w pełni Bożej chwały ową »Cud Panienkę, by jutrzenkę« i jasnolice anioły, co z nad ziemi »słysząc ludzi proszących głosy, z litości płaczą kroplami rosy«... To w pewnej rozumnej mierze zachowanie plastyki w kreśleniu obrazów fantazji, postaci nieziemskich i świata marzeń i domysłów, w najściślejszej pozostające harmonji z treścią, jest najważniejszą stroną jego płodów, i łącząc go z wieśniakiem, z którego serca prawdę i piękno poezyj swoich wyssał, czyni go poetą ludowym.

»Człowiek czuje — są słowa Libelta — że świat bez cudu jest światem bez Boga. Cóż znaczy, że mi zeskrobiesz farbę z Madonny Rafaela, czy mnie tem przekonasz, iż tam było płótno i farba, a nie żywy obraz gieniuszu mistrza, co oddał ideał matki syna Bożego? Widzimy, że sztuka idzie cudowności rzeczywistej w pomoc, głosząc własną cudowność objawioną w arcydziełach swoich na materjale natury wykonanych i dając tym sposobem świadectwo cudowności Stwórcy wśród dzieł stworzenia. Lecz w cudowności jest jeszcze inna strona, nie symboliczna, zagadkowa, lecz plastyczna, rzeczywista. Jest to wiara w bezpośrednie działanie ducha, upostaciowanego w indywidualność, na wzór postaci człowieka — wiara w żywot wieczny i we wpływ tego żywota na życie ludzi doczesne«...

»Życie bez ciała podobnie jak ciało bez życia — trup — silnie uderza naszą wyobraźnię. Wiara pojmuje ducha nieśmiertelnego bez ciała, ale w kształcie ciała i w związku ze światem żywych. Od najdawniejszych czasów stroiła fantazja ludów i poetów owe nieznane okolice zmarłych, od których nas grób przedziela, w różne obrazy i nadawała mieszkańcom niebios i piekieł różne potęgi nad naturą i ludźmi, i nareszcie religia objawiona zawiązała na zawsze związek między dwoma światami: wiecznego i doczesnego żywota. Temi wyobrażeniami nasiąkły za młodu umysł widzi wszędzie świat duchów w styczności ze światem ludzi, a niedocieczone tamtego stosunki są nieustanną grą wyobraźni, nieustającem tworzeniem obrazów świata zazmysłowego, w którym wszystko musi być już inne, nadprzyrodzone i dla tego cudowne.«

Uwagi te nader trafne naszego znakomitego estetyka przytoczyliśmy tu umyślnie, by rzeczywistość podmiotową w płodach naszego poety tem jaśniej wykazać. »Gieniusz estetyczny przesiega się w potęgach swoich, gdy należąc sam całkowitym żywotem do tego świata, tworzy nam dzieła z półobliczem tamtego świata, z półobnażonym z ciała duchem.«

Tworząc, winien artysta urobić sobie pewną miarę w użyciu uroku cudowności. Powinien ją zastosować do ludzi, miejsca i czasu, by nie zostawała w sprzeczności z przedmiotem. Lenartowicz w tym względzie był czysto ludowym. W religijnych swoich poezjach poszedł wprost za tradycjami i wyobrażeniami gminnemi. Postaciując bóstwo i wyobrażając sobie niebo, stworzył jakby drugi światek nasz, tylko piękniejszy, czystszy, wolny od brudów, plugastw i namiętności, któremu to samo słonko przyświeca, te same gwiazdki mrugają, zkąd widzisz nawet

...naszą wioskę jedyną,
Naszą chałupę, bydło na smugu,
Siostrę w zagonie, ojca przy pługu.

I widać dziewczę, co zbiera ziele,
I tego dziadka, co przy kościele
Siedzi i w górę wyciąga ręce
Na małym wzgórku przy Bożej męce!

Zielone błonia a na nich »przeróżne kwiatki, te w bożych łąkach prześliczne bratki«, co się na ziemi bardzo kochali, a potem w niebie powyrastali. Jest tam i »jasna, grająca zorza«, która wiecznie na cześć »Cud-Panienki« drzy cudownemi tony,

Ale to taka słodka kapela,
Jak gdy z daleka jadą z wesela,
I ledwie słychać skrzypeczne brzęki,
Jakieś ci głosy, jakieś piosenki
Niby słyszane i niesłyszane,
Jakby na ciszę wiejską rozwiane...

Coś jakby brzęk pszczół lecących z miodem, to jakby strumień, to jakby wietrzyk wiosenny, lub znowu jak »słówko słodkie do ucha« albo jak »dźwięczny z kaplicy dzwonek«...

I jak porzeczna, cicha lilija,
Woń niebios wieje „Zdrowaś Maryja!“

W »Zachwyceniu« pyta matkę dziecie:

Mateńko droga, proszęż ja ciebie,
Co też tam robi Pan Jezus w niebie?
Co robi w niebie gwiazda zaranna,
Królowa nasza, najświętsza Panna?

— O dziecko moje! o kochające!

— odpowiada matka —

Jezus owieczki pasie na łące,
Jak śnieg bieluchne, co skubią trawę...
— — — — — — — —
A to są dusze błogosławione.
— — — — — — — —
Matka najświętsza dla ludzkiej nędzy
Wyrabia płótno ze srebrnej przędzy.

i dodaje, że wszystkie sieroty miałyby takie koszulki, gdyby niedobry wiatr jesienny nie psuł

Tych srebrnych nitek babiego lata,
Co się na naszych płotach oplata.

Motywa tu czysto ludowe, ale jakie wzniosłe, jaka tu miara w owem użyciu cudowności, jakaż wreszcie harmonia cudowności z rzeczywistością! Weźmy na przykład wiersz pod tytułem »Niech będzie Jezus Chrystus pochwalony«. Dziadek stary, bialutki jak gołąb, trzęsący się i przygarbiony, powiada księdzu, że czuje bliską już śmierć. Już mu i siły nie dostają, już i wzrok przygasa i nogi się trzęsą, więc trzebaż co prędzej gotować się do drugiego życia. Z czystem sumieniem, z otwartem czołem — powiada — stanę przed jasnością Bożą — aleć jedno mnie jeszcze tylko trapi. Oto gdy już się znajdę w niebie, gdzie tyla świętych i aniołów pańskich, gdzie w chwale i jasności słonecznej tron Boży stoi i Panienka Przenajświętsza i Jezus Miłościwy z krzyżem w ręku w jasnych obłokach siedzi — cóż ja tam biedny prostak powiem?

— Co? — odpowie ksiądz — oto krzyż święty uczyniwszy na piersi, skłonicie się dziadku na wszystkie strony, mówiąc:

Niech będzie Chrystus pochwalony!

Czy może być co bardziej naturalnego, a zarazem tak odpowiedniego duchowi wyobrażeń religijnych ludu nad ten prześliczny wierszyk?

Łacno więc poznać, iż Lenartowicz nie jest tylko naśladowcą poezji ludowej; on przejął się jej myślą i przeobraża ją w duchu. Prostota myśli czyni go zrozumiałym nawet dla dzieci. »Dzieci — powiedział Jean Paul — są naszymi panami, my na nie pracujemy. Kogo dzieci zrozumieją i ukochają, ten jest godnym chwały, bo wpływ jego w odległą sięga przyszłość.« Ale dalej jeszcze sięgają przymioty naszego poety. Wszak on poeta ludu, lirnik wioskowy, co płacze nad niedolą ludu krwawemi łzami i z serca radby rzucić pana i chłopka w wzajemne ramiona!

Kto czytając Zachwycenie i Błogosławioną, Lirenkę lub Polskie śluby, unosił się tylko i roztkliwiał nad jego tęsknotą do rodzinnej niwy, nad tą wonią łąk i spiewem ptasząt leśnych, co gra i wieje z jego poezyj, ten go nie zrozumiał! Głębsze tam myśli skryte, szczytniejsza miłość i silniejszy ogień, co mu przepalał serce, nad tkliwe sielanki i woń kwiecia z błoni ojczystej...

...Jam rósł w tym kraju, jak ten bór stary,
Karmiłem w gajach święte sokoły,
W garnki sypałem zmarłych popioły,
I na tych wzgórkach pełnych kamieni,
I na tych ługach pełnych strumieni,
Śpiewałem pieśni, oj sprawy sławne,
Słowiańskie wodze, witezie dawne.
Jam tłukł na Niemcach twarde oszczepy,
Krzemienne młoty, dębowe cepy,
A odrąbane niemieckie głowy,
Jam na gałęzi wieszał dębowej,
Kędy siedziały wielmożne Bogi,
A kapłan palił zbroiste wrogi.
Potem, gdy zstąpił na świat syn Boży,
Pokłoniłem się anielskiej zorzy,
I krzyż na barki przyjąłem cichy,
Wolen od chęci złej i od pychy.
Lecz chociam cichy, kiedy się wzruszę,
Rozrywam, niszczczę, burzę i kruszę...
— — — — — — — —
A teraz powiemć me imię: Lud.
— — — — — — — —
Jestci i świetna zbroja ogromna,
Na miecze i na strzały niezłomna,
Złota jak kościoł zbroica stara,
Wisi nad wami — a zwie się — Wiara.

Pieśni Lenartowicza winny znaleźć miejsce w każdej bibliotece ludowej. One przylgną do serca wieśniaka jak baje i kazki dziadów i lirników wioskowych, jak nuta piosenki rodzinnej, jak wyssana z mlekiem macierzyńskiej piersi miłość do ojczystej zagrody. *H. Mierzeński.*

Korespondencje.

Od towarzystwa młodzieży polskiej „Ognisko.“

Wiedeń 23 kwietnia 1866.

(O politechnice wiedeńskiej.)

Tak korespondenci jak szanowna redakcja Tygodnika dopominają się od młodzieży naszej bawiącej za granicą sprawozdań z czynności jej i ruchu umysłowego, jaki na obcych panuje umiejętniach, tak wszechnicach jakoteż zakładach technicznych i handlowych. W odpowiedzi na takie zawezwania skreślimy wam dziś stan umysłowy politechniki wiedeńskiej i czynność młodzieży polskiej, kształcącej się w tym zakładzie.

Politechniczna umiejętnia w stolicy państwa austryackiego do najdawniejszych, najbogatszych, a pod względem umysłowym do najlichszych tego rodzaju instytutów Europy należy. Pół wieku przemінęło, odkąd w tym wspaniałym gmachu rozpoczęli profesorowie odczyty swoje w obec licznych zastępów młodzieży krajowej i zagranicznej; pół wieku wynalazków i odkryć w olbrzymiej dziedzinie wiedzy technicznej — ale postęp owego instytutu nie sprostał szybkiemu prądowi umysłowemu, jaki w przeciągu pięciu lat dziesiątek bezprzestannie drgał na Zachodzie.

Politechnikę wiedeńską założył cesarz Franciszek, za staraniem jednego z najdzielniejszych techników niemieckich, Jana Józefa Prechtla, pierwszego jej zwierzchnika. Prechtl, zwierzchnik szkoły realnej w Tryjeście, podał rządowi w r. 1810 projekt do założenia wszechnicy technicznej, jaka podtenczas mało gdzie w Europie istniała, a ówcześni

profesorowie uniwersyteccy Jordan i Jaquin najdzielniej poparli pomysł tak zbawienny u cesarza.

Na wszechnicy wiedeńskiej wykładano już od lat kilku umiejętności techniczne: tak miewali prof. Jeger w r. 1784 odczyty mechaniki, Herman w następnych kilku latach odczyty technologiczne; niemniej wykładano dla przemysłowców chemję, budownictwo i wiele innych szczegółowych nauk technicznych.

Pośród krwawej wojny nie przepomniał cesarz o potrzebie zakładu politechnicznego dla handlu i przemysłu Austrji i począł gromadzić fundusze na wystawienie gmachu akademickiego. Za usilnem staraniem cesarza, planodawcy i pp. Krausa de Elislago, Juestla i Grubera nagromadzono rychło potrzebny kapitał, tak że 14 października 1816 r. położył cesarz kamień węgielny dzisiejszej politechniki, której wystawienie poruczono architekcie Schemerl de Leistenbach. Szkoła politechniczna istniała już od dnia 3. listopada 1815 r. i liczyła już w roku następnym 296 uczniów, mieściła się atoli w innem zabudowaniu i dopiero po wykończeniu gmachu politechnicznego do stałej przeniosła się siedziby.

Austrja liczyła wówczas dwie akademje techniczne: wiedeńską pod dyrekcją Prechtla i pragską pod zwierzchnictwem sławnego Gerstnera, założoną już w r. 1806. Zewsząd garnęła się młodzież nauki chciwa do tych obudwu zakładów, które pod dzielnem kierownictwem szybko się rozwijały i w całych zasłynęły Niemczech z rzadkiej zdatności profesorów swoich.

W roku 1839 odbyła się w gmachu politechnicznym wielka wystawa przemysłowa, a w roku 1846 dołączono szkołę rysowniczą dla rękodzielników. W tych czasach odpowiadał instytut techniczny wiedeński zupełnie wielkim celom swoim i kształcił mężów sławnych, jak Redtenbachera, twórcę umiejętności budowy machin, Roessla wielkopomnego wynalazcę śruby okrętowej, i wielu innych.

W Niemczech, Szwajcarji i Belgji powstawały w krótkich odstępach czasu umiejętnie techniczne, które poczęły techników kształcić zawodowo specjalnie, utwarzając oddzielne kursa dla każdego fakultetu nakształt wszechnic. Inaczej być nie mogło. Zakres wiedzy technicznej z każdym rokiem szybko się rozszerzał, a specjalność coraz potrzebniejszą się okazała. Politechnika wiedeńska nie postępowała równym krokiem z umiejętnością, lecz starą zachowawszy szatę kształciła techników ogółowo, jak akademje nasze, lwowska i krakowska.

Profesorowie udali się w końcu do Rady naukowej, jaką na miejsce ministerjum oświecenia utworzono. Panowie radni trzy lat z okładem radzili nad dobrem tego zakładu, aż z końcem ubiegłego roku — na dniu 17 października — wyszło najwyższe postanowienie, na mocy którego umiejętnia techniczna wiedeńska otrzyma układ podobnych zakładów na Zachodzie i rozpadnie się na 4 oddzielne wydziały techniczne na sposób fakultetów. Dopiero po takiem postanowieniu spodziewać się można nowego jej rozwoju, nowego życia umysłowego tak między profesorami jak między młodzieżą.

Obecny ruch umysłowy młodzieży bardzo słaby i wcale niepochlebny dla pierwszej umiejętni technicznej państwa, bowiem pomiędzy szczupłą tylko garstką słuchaczów skierowany ku celom istotnie umiejętnym. Przyczyną tego tok naukowy, z drugiej strony znaczny brak wykształcenia humanitarnego.

W toku naukowym nie masz żadnego ładu, żadnego kierownictwa ze strony profesorów. Młodzież wstępująca do akademji widzi w programie niezmierną ilość umiejętności, które wykładają — bądź obowiązkowych bądź nieobowiązkowych — i bez namysłu sięga w ten ogrom ducha, wybierając co jej do smaku przypadnie. Dobór przedmiotów jest zupełnie dowolny, zaczem ani przewodniczący zakładu, ani profesorowie nie wpływają na młodzież, lecz pozostawiają jej zupełną samowolę w oznaczeniu toku naukowego. Skutkiem tego najkompletniejszy bezład w przedmiotach obranych, a ztąd brak zawodowości w studjach, która jedynie kształci umiejętnie.

Zazwyczaj wybierają przedmioty jak następuje: w pierwszym kursie matematykę niższą, fizykę i rysunki przygotowawcze; na drugim motematykę wyższą i geometrję wykreślną; na trzecim mechanikę, miernictwo a niekiedy i technologję mechaniczną lub mechanikę budowniczą; na czwartym budownictwo lądowe, mineralogję, geologję a niekiedy budowy machin kurs pierwszy; na piątym budownictwo wodne a niekiedy budowy machin kurs drugi. Przytem przeplatają studja statystyką, gospodarstwem społecznem i językami. Chemicy kształcą się mniej więcej zawodowo, chociaż i tu w układzie przedmiotów nie ma należytego ładu. Wielu obiera zawód chemiczny z tej przyczyny, że nie mogą podołać matematyce, którą najmniej chemików słucha; inni bez opamiętania w jednym roku obarczają się wszystkiemi umiejętnościami przybocznemi.

Jak już powyżej nadmieniłem, nie mają ani profesorowie ani akademickie zwierzchnictwo prawa oznaczania słuchaczom toku naukowego. Że dyrekcja najmniejszego nie wywiera wpływu na młodzież, temu się dziwić nie będziem, jeżeli zauważamy, iż kilkuletnim zwierzchnikiem politechniki jest doktor medycyny Jerzy Haltmeyer. Pod takiem kierownictwem, jakie ten mąż praktykuje, akademja w żaden sposób rozwinąć się nie mogła.

Drugą przyczyną znacznego braku życia umysłowego młodzieży jest nizkie jej wykształcenie humanitarne, a przyczyną tego obojętność młodzi i wadliwe urządzenie szkół realnych. Technika tutejszego prócz studjum w obranych umiejętnościach nic zgoła nie obchodzi. Niemcy nie znają ani historji narodu swego, ani literatury i nie troszczą się bynajmniej o obecny stan umysłowości niemieckiej. Nieraz wydarzyło mi się usłyszeć najśmieszniejszy sąd o sprawach narodowych; nieraz wyszydzała młodzież niemiecka najświętsze uczucie człowieka: miłość ojczyzny. O idei narodowej, o świętych obowiązkach ku ojczyźnie nie zamarzy nigdy młodzian niemiecki, bo to nie płatne, bo to tylko czczość i szalone pomysły, wylęgłe w mózgownicach niedowarzonych półgłówków. Jakże tu żądać silnego życia umysłowego, kiedy ani jednej szczytniejszej myśli nie znajdziesz w tych samolubach? Każdy pracuje dla siebie, każdy żyje i myśli dla siebie, bo nauka powołaniem jego podczas pobytu w akademji, a przyszłością jakakolwiek najlichsza posada, byle starczyła na utrzymanie życia. Zgroza patrzeć na tutejszą młodzież niemiecką: koleżeństwo jest u niej nieznanem, praca narodowa wygórowanem głupstwem, zjednoczenie umysłowe jakimś wybrykiem zagorzałej fantazji. Na dowód słów moich przytoczę tu jedno zdarzenie, które wam najtrafniej odmaluje młodzież tutejszą.

Jeden z członków towarzystwa naukowo-literackiego młodzieży polskiej „Ognisko“ usiłował przed kilku laty podczas pobytu swego na politechnice utworzyć towarzystwo naukowe pomiędzy młodzieżą akademicką. Długi czas strawił na przekonywaniu młodzieży o potrzebie i zbawiennych skutkach takiego stowarzyszenia, ale wszystko nadaremnie. Szlachetny ów pomysł polskiego technika rozbił się o obojętność ubożuchnej na duchu młodzieży akademickiej.

Znając dokładnie stan umysłowy akademji politechnicznej pomówimy z kolei o najgłówniejszych katedrach poszczególnie, rzucimy okiem na czynność młodzieży polskiej, na jej pożycie między sobą i z kolegami innych narodowości, a nakoniec wspomnąć nam wypadnie o towarzystwach wytworzonych z grona młodzieży akademickiej.

Zakład naukowy, o którym mówimy, liczący dziś 886 słuchaczy, już od czasu założenia rozdzielony na dwa wydziały: techniczny i handlowy, z których pierwszy kształci techników a drugi kupców.

W wydziale technicznym rozróżnić wypada umiejętności przygotowawcze od zawodowych. Do pierwszych należą matematyka, mechanika, geometrja wykreślna, fizyka, chemja ogólna, mineralogja, botanika, zoologja, geologja, technologja mechaniczna po części i rysunki architektoniczne; do ostatnich budowa machin, miernictwo, budownictwo lądowe, budownictwo wodne, jakoteż budowa kolei i dróg, chemja techniczna i rolnictwo.

Wydział handlowy obejmuje gospodarstwo społeczne, prawo handlowe i wekslowe, styl kupiecki, rachunkowość kupiecką, książkowość *(Buchhaltung)*, towaroznawstwo, geografję i statystykę, a w końcu administrację i instytucje państwa austrjackiego. Prócz tego istnieją katedry nadzwyczajne mechaniki budowniczej, miernictwa wyższego, astronomji sferycznej, matematyki wyższej specjalnej, chemji alkoholów, anatomji i fizjologji roślin, mikroskopji przemysłowej i literatury niemieckiej. W końcu wykładają języki francuzki, włoski, angielski, turecki arabski i perski.

Ze wszystkich katedr umiejętności przygotowawczych w wydziale technicznym najgorzej obsadzona mechanika, a z umiejętności zawodowych budownictwo lądowe. Pierwszą wykłada pan Adam baron Burg, radca dworu i kawaler 14 orderów, mąż zasłużony, czcigodny, wielki przyjaciel młodzieży, ale w umiejętności starym postępujący trybem. Uznawając poniekąd powagi zagraniczne, nie przysądza im pierwszeństwa we wielu gałęziach mechaniki teoretycznej, lecz swego własnego

podziśdzień wielce zastarzałego trzyma się systemu z wielką szkodą słuchaczy. Pan Burg opuszcza akademję z przyszłym rokiem. Budownictwo lądowe wykłada pan Maurycy Wappler, a wykład jego tak niezrozumiały i niszczący wszelką samodzielność umysłową słuchaczy, iż z jednej strony odstrasza młodzież od studjum, a z drugiej nie daje jej żadną miarą gruntownych pojęć w system umiejętny ujętych. Na mechanice jest Polaków 4, na budownictwie lądowem 13.

Obiedwie katedry matematyki obsadzone bardzo dobrze profesorami, którzy istotnie stoją na wyżynie dzisiejszej umiejętności. Na pierwszym kursie jest Polaków 9, na drugim 8.

Katedra geometrji wykreślnej, licząca 7 Polaków, nie może się poszczycić równie zdatnym profesorem.

Fizykę wykładał do niedawna ś. p. Ferdynand Hessler; dziś zastępuje miejsce jego asystent aż do końca roku. Fizyki słucha 8 Polaków.

Chemję ogólną, organiczną i nieorganiczną, wykłada p. Antoni Schroetter, który w r. 1847 zbadał pierwszy własności czerwonego fosforu i przyczynił się do gruntownego poznania tego pierwiastka i jego związków chemicznych. Wykład jego nie całkiem jasny i nie odpowiadający zawsze nowym teorjom chemicznym. Chemja liczy 3 Polaków.

Mineralogję i geologję wykłada dr. Ferdynand Hochstetter, pierwszy badacz stosunków ziemioznawczych Nowej Zelandji.

Do najlepiej obsadzonych katedr umiejętności zawodowych należą budowa machin, miernictwo i technologja chemiczna.

Profesorem budowy machin był do niedawna ś. p. Gustaw Marin, Polak rodem, którego politechnika utraciła w kwietniu b. r. Na miejscu jego pozostał adjunkt Rudolf Grimburg de Grimus, mąż w całem słowa tego znaczeniu zawodowy i wykształcony podczas kilkuletniego pobytu za granicą. Budowa machin jest jedyną, na dwa roczne kursa rozłożoną umiejętnością zawodową na politechnice; na pierwszym kursie wykładają budowę pojedyńczych części machin, przenośni i machin ciągowych, na drugim budowę machin silniowych i roboczych. Rzeczona katedra bardzo mało liczy słuchaczy, między którymi 4 Polaków w obudwu kursach.

Miernictwo wykłada jeden z najświatlejszych profesorów zakładu dr. Józef Herr, uczeń i następca sławnego miernika Stampfera. Wykład jego w wysokim stopniu zajmujący i bardzo gruntowny obejmuje teorję najmniejszych kwadratów, teorję przyrządów optyczno-mierniczych poziomowanie (niwelację) i wymiar pól. Słuchacze odbywają corocznie sześciotygodniowe pomiary w Wiedniu, a w czerwcu pomiar generalny jednej z pobliskich wsi. Powyższa katedra liczy 4 Polaków.

Katedrę technologji chemicznej zajmuje dr. Pohl, znany po dziś dzień dostatecznie technolog. Wykład jego zawiera wyrobnictwo zapałek, szkła, porcelany, całego szeregu ciał palnych, piwa, wódki, wina i t.d. Dr. Pohl wydaje obecnie obszerne dzieło traktujące o pojedyńczych gałęziach chemji technicznej. Technologję chemiczną słucha 5 Polaków.

Technologję mechaniczną, którą słucha 7 Polaków, wykłada dr. Ignacy Heger. Wykłady jego obejmują przetwarzanie kruszców i drzewa, przędzelnictwo i tkactwo bawełny, a w końcu wyrobnictwo papieru.

Architekta Schoen jest suplentem budownictwa wodnego, obejmującego budowę mostów, kolei żelaznych, dróg, tunelów, kanałów, portów i innych budowli nad wodą. W wykładzie nader szybkim i często powierzchownym zanadto mało teorji a za wiele drobiazgowości w rzeczach mniej ważnych. Powyższa katedra liczy 8 Polaków.

Rolnictwo pod kierownictwem dr. Fuchsa, męża w świecie gospodarczym dostatecznie znanego, wegetować jeszcze będzie tego roku, by być słusznie wydzielonym z akademji.

Nie wspominam tu nic o wydziale handlowym, bo ten nie wielkiej jest wartości (nadmienię tu tylko iż gospodarstwo społeczne słucha 6 techników Polaków), a o językach powiem tylko tyle, iż bez wyjątku dobranymi obsadzone profesorami. Dość będzie wspomnąć, iż język i literaturę francuską wykłada pan Legal, wydawca znanej powszechnie gramatyki Machata. Najmniej słuchaczy liczą języki wschodnie, i dziwić się należy, czemu nie poruczono nauczanie tychże wyłącznie tutejszej akademji orientalistów.

Politechnika wiedeńska, dotycząc środków naukowych, do najhojniej wyposażonych zakładów naukowo-przemysłowych Europy policzyć się może. Każda katedra posiada znaczne zbiory wzorników; dla chemji ogólnej oddzielną zarządzono pracownię bardzo obszerną dla słuchaczy niemniej dla technologji chemicznej; zoologja, botanika, mineralogja i geologja bardzo bogate posiadają gabinety, a oprócz tego istnieje warsztat mechaniczny i pracownia przyrządów matematyczno-optycznych. Najbogatszym i najbardziej zajmującym jest zbiór przynależny technologji mechanicznej, założony przez cesarza Franciszka, gdzie od najprostszych narzędzi do najkunsztowniejszych machin i przyrządów wszystko znajdziesz, czy to we wzornikach, czy to w zwykłych rozmiarach do bezpośredniego użytku.

Biblioteka akademji także bardzo znaczna, bo licząca 10124 dzieł ze wszystkich dziedzin wiedzy technicznej, między któremi znaczna ilość dzieł bardzo kosztownych i kilkunastotomowych w językach niemieckim, francuskim i angielskim. Czytelnia otwarta w zimie przez 6, a w lecie przez 7 godzin dziennie, służy tak technikom, jak każdemu mieszkańcowi Wiednia. Co rocznie obdziela akademickie zwierzchnictwo pewną ilość techników kartami, które nadają prawo wypożyczania dzieł do domu. Młodzież polską bardzo często obaczysz licznie zgromadzoną w czytelni.

Na politechnikę wszystkie narodowości państwa austrjackiego wysyłały mniej lub więcej liczne zastępy młodzieży. Najwięcej jest młodzieży niemieckiej, na drugiem miejscu co do liczby stoją Czesi i Morawianie. Polaków liczy akademja 44, między tymi przeważna ilość z Galicji, 2 z Kongresówki a jeden z Wołynia. W tak znacznej stosunkowo będąc ilości, nie widzą się zniewoleni szukać styczności z młodzieżą innej narodowości, lecz żyją po bratersku między sobą w ciągłej pracy około wykształcenia swego.

Z bardzo małemi wyjątkami pracuje młodzież nasza niezmordowanie, i z tego względu zasłużyła sobie istotnie na poszanowanie, jakiego ze strony kolegów swoich doznaje. Akademicy wyszli z zakładu technicznego we Lwowie znają się prawie wszyscy od czasu pobytu swego w kraju, również akademicy krakowscy; a zapoznanie się i ścisła zażyłość techników lwowskich i krakowskich w pierwszych dniach roku, to rzecz corocznie się powtarzająca.

Od kilku już lat czuła młodzież nasza potrzebę kółka towarzyskiego i często pierwsze w tej mierze czyniła kroki, ale zawsze nadaremnie. Dopiero w bieżącym roku studjów udało się kilku słuchaczom wszechnicy i politechniki utworzyć towarzystwo młodzieży polskiej, które pod nazwą „Ogniska“ od grudnia istnieje i liczy podziśdzień 35 członków, pomiędzy którymi 19 techników. Władze rządowe dały towarzystwu temu przed trzema tygodniami koncesję. Tu w kole braci rodaków rozwija się zwolna życie umysłowe z przeciwnemi Niemcom dążnościami bo mające na celu pracę literacko-naukową. Odosobnieni od młodzi innych narodowości pracują tu skrzętnie około wzajemnego oświecenia się w najważniejszych kwestjach naukowych, dotyczących szczególnie narodu naszego i potrzeb jego. Na tygodniowych posiedzeniach odczytują prace swoje, wygłaszają utwory poetyczne celniejszych naszych wieszczów i poetów, a tak jedną ożywieni myślą żyją ciągle w wspomnieniach o stronach ojczystych i odrzucają ze wstrętem owe niemieckie zasklepienie się w naukach bez najmniejszego poglądu na przyszłość i najmniejszej korzyści dla narodu. Nie mogę tu przemilczeć iż nie wszyscy technicy polscy z ową wyższą ideą narodową przykładają się do pracy, lecz kilku z pomiędzy nich jako zimne samoluby odwraca się od braci i osobną postępując drogą, baczy tylko na korzyść osobistą z pracy. Ze smutkiem patrzeć należy na te sieroty z własnej woli, którym osamotnienie milsze, aniżeli zażyłość braterska.

Młodzież techniczna innych szczepów sławiańskich poutwarzała od kilku lat z młodzieżą uniwersytecką towarzystwa mające po większej części zabawę na celu. Punktem środkowym tych kółek jest utworzone w tym roku towarzystwo wszechsławiańskie „Slawja“ liczące 204 członków.

O mnogich towarzystwach młodzieży niemieckiej, tak zwanych burszenszaftach, nie wspominam, bo nie są tego warte; natomiast nadmienić mi wypada towarzystwo bratniej pomocy i tow. dla chorych studentów *(Studentenkrankenverein)* istniejące już od lat wielu. Czynność tow. dla chorych studentów bardzo zbawienna, zwłaszcza iż przeważna część młodzieży nie przebywa stale w Wiedniu. Rzeczone tow. znaczne posiada fundusze i z najlepszych tutejszych składa się lekarzy, niosących pomoc chorej młodzieży. Za roczną opłatą dwu guldenów otrzymuje każdy student prawo, w razie choroby być leczonem przez jednego z lekarzy tow. czy to w domu, czy to w szpitalu, gdzie 10 łóżek wyłącznie dla młodzieży przeznaczono. W razie śmierci tow. zwłoki jego obowiązane pochować.

Oto macie dokładny obraz dzisiejszego stanowiska politechniki. Co przyszłość przyniesie, gdy z przyszłym rokiem studjów reorganizacja wejdzie w praktykę, o tem sądzić dziś nam nie pozystoi.

Jan Franke.

Paryż 5 maja 1866.

Upadek powstania 1863-4 roku spowodował liczną emigrację, a ponieważ powstanie to było przeważnie przez młodzież przygotowane i przeprowadzane, przeto i emigracja dzisiejsza przeważnie się składa z młodzieży. Młodzież ta w znacznej części wychodząc do powstania, przerywała studja uniwersyteckie, bądź nawet gimnazjalne i stosunkowo nie wielu jest takich, coby nauki swe przed powstaniem mieli pokończone. Pochodzi to głównie z tej przyczyny, iż w ostatnich kilku leciech przy nadzwyczajnem rozbudzeniu życia narodowego w dwójnasób a może nawet w trójnasób liczba uczących się powiększyła, nie było zaś czasu rozpoczęte nauki pokończyć.

Dziś na tułactwie wypadło młodzieży dalej swe studja przeprowadzać, niestety w odmiennym kierunku, bo insze są nasze potrzeby, a ztąd i szkoły u nas są insze aniżeli tutaj. Potrzeba jej dzisiaj na nowo rozpoczynać naukę. Stosunek kształcącej się młodzieży do całej emigracji jest znaczny; brak środków do życia zmusił wielu do zaniechania projektu dalszego kształcenia się i spowodował iż się wzięli do rzemiosł. Rozpatrzmyż te środki bo o nich często u nas piszą a nigdy dokładnie.

Rząd francuzki wydaje żołd emigracji polskiej w następującym porządku: Żołnierzom miesięcznie po 15 franków, oficerom po 25, majorom i pułkownikom od 35 do 45, z jenerałów żaden nie pobiera żołdu. Członkowie rządu narodowego po 100 fr. komisarze itd. Cywilni urzędnicy bardzo wysoko są płatni; ranni otrzymują od 50 do 100 fr. stosownie do rodzaju kalectwa. Nadto wydaje wszystkim stosunkowo do żołdu zapomogi nadzwyczajne lecz te nie są regularne. Ponieważ do szkół postępują tylko niższe stopnie, przeto dla tych żołd jest podwyższony do 35 fr. miesięcznie, dla pozostających w szkołach inżynierskich od 50 do 60 fr., w szkołach zaś wojskowych będącym wydają przeszło 80 fr. miesięcznie.

Teraz rozpatrzmy, ile kosztuje przeżycie w Paryżu (bo tu najwięcej się kształci), mieszkanie pokoik najmniejszy 20 fr. obiad, którego główną potrawą jest sałata i chleb, kosztuje 23 fr. lecz obiad ten nie nasyca na dłużej jak na godzin kilka, je się wieczorem o godzinie 4 — 5, a z tąd koniecznie z rana śniadanie 9 fr. miesięcznie; ma się rozumieć że filiżanka kawy i trochę sałaty nie mogą na długo zadowolnić, można tem żyć miesiąc, dwa, ale więcej to już z uszczerbkiem zdrowia. Dalej światło, opał (niezmiernie drogi) itd. itd. odzienie i bielizna, obuwie i książki, na ogół miesięcznie najskromniej 70 fr. Zaraz przytem potrzeba zanotować, iż 150 fr. w Paryżu zaledwie na bardzo skromne utrzymanie wystarcza; nie bez tego wszelako aby taniej przeżyć nie było można, owszem są nawet tacy dla których 35 fr. miesięcznie jest dostatecznem, nie potrzebują oni, ani opału ani światła tak we dnie jak i w nocy, nie potrzebują nawet dwa razy dziennie jadać, bo snem się pokrzepiają, ale takich którzyby za ideał dla dziennika warszawskiego posłużyć mogli, dzięki Bogu jest bardzo nie wiele.

Owóż co do młodzieży kształcącej się, to mając tylko 35 fr. miesięcznie, a z zapomogami nadzwyczajnemi 45, wspieraną jest przez komitet księży francuskich *(l'oeuvre du catholicisme en Pologne)* zkąd tenże pobiera na miesiąc po 20 fr., na ogół tedy całe jej utrzymanie miesięczne niedochodzi 70 fr. jakeśmy to wyżej powiedzieli niezbędnych aby żyć. Postawieni w tak trudnych okolicznościach nie dziw że częstokroć rozpoczęte już powtórnie, na tułactwie, nauki zarzucać muszą, zastępując je taczkami lub rzemiosłem.

Na prowincji życie nieco tańsze, ale jest tam inna trudność, tam potrzeba ograniczyć się na żołdzie rządowym, gdyż komitet księży utrzymując kilkaset osób w Paryżu, bądź pozostających w zakładach naukowych bądź pracujących na fabrykach lub w rzemiośle ma tak wielkie wydatki, że mu zaledwie starczy na pokrycie tych wydatków i tylko jednorazowe zapomogi wydaje wyjeżdżającym z Paryża. Jeszcze tańsze jest przeżycie po za Francją: w Belgji, Szwajcarji, Włoszech, Bawarji, ale za to emigracja tam pozbawiona jest wszelkich zapomóg, tak iż kształcąca się młodzież na emigracji gdziekolwiek bądź ona pozostaje ma niedostateczne środki do swego utrzymania się. Walczyć więc musi z pierwszemi potrzebami życia przez co nauka zapewne nie zyskuje.

Taki jest stan kształcącej się młodzieży, a wszystkie te środki, jakie posiada zawdzięcza cudzoziemcom szczególniej gościnnej Francji. Trudno wymagać aby kraj przychodził z pomocą kształcącej się tutaj, kiedy uniwersyteta krajowe są puste, kiedy młodzież w kraju nieznajduje dostatecznych środków na swoje wykształcenie; wszelako są środki któreby się dały z pożytkiem obrócić na wykształcenie młodzieży emigracyjnej bez uszczerbku krajowej; jakie to sumy Polska wysyła za granicę szczególniej do Paryża, ile tu tych pieniędzy marnują hrabicze bez żadnego użytku dla kraju, a z których jeżeli już niebezpośrednio dla kraju to przez stypendja dla młodzieży emigracyjnej możnaby przynosić korzyść; ale długo pono potrzebaby było czekać póki by ci co się odważają marnować krwawy grosz na obczyźnie zechcieli go użytecznie użyć.

Gdyby to można zebrać statystyczne wiadomości o kształcącej się polskiej młodzieży po za krajem, jaktoby było pożądanem, ale my tu w ognisku emigracji nawet przebywając nie mamy dostatecznego wyobrażenia. Łączą nas rozmaite stosunki, bądź zamieszkania w sąsiedztwie w kraju, bądź koleżeństwo w szkołach i na uniwersytetach bądź nareszcie poznawaliśmy się jako towarzysze broni, częstokroć kto wie do jakich oddziałów rzuceni i nareszcie znajomość na tułactwie. Paryż jest centrem tych wszystkich stosunków, tu zbiegają się korespondencje, każdy niemal emigrant, tam i ówdzie zamieszkały ma dwóch znajomych w Paryżu. Na tym fundamencie podjętą została myśl zorganizowania tej młodzieży, zapoznania jej między sobą w całej masie. Na wezwanie odpowiadają chętnie ze wszystkich stron, tak iż sądzimy jeżeli środki materjalne nie staną na przeszkodzie, że z czasem dojdziemy do zamierzonego celu, a podawszy braterską sobie wzajem dłoń, będziemy mogli wspólnie prowadzić nasze umysłowe interesa i z płodów jakie zdobędziemy na obczyźnie jakiś snopek przenieść na ojczystą niwę.

Po nad Europą podnosi się dzisiaj burza, która może potoki krwi przelać, zmienić granice państw europejskich, a nawet jak powiadają dla postępu niejaki owoce przynieść; owóż zapewne ciekawa rzecz jak się wśród tych wichrów postawi młodzież polska. Co do młodzieży emigracyjnej z góry odpowiedzieć można, bo już z dzisiejszego jej usposobienia przewidzieć łatwo, iż wszystko to dla niej pozostanie obcem, nie przestraszą i niezadziwią jej huki armat i potoki obcej, bo widziała ona morzem z krwi i łez polskich zalaną ojczyznę, w której tyrani brodzą samopas, nauczyła się ze stuletniego doświadczenia, iż żadne zmiany granic na zachodzie lub nawet pośród samej Polski nie wpłyną na polepszenie losu naszego narodu.

Zimno jakoś młodzież zapatruje się na te przygotowania do wojny, zbrojenie się Europy wyszydza, w możebność wojny nie wierzy, a jeżeli ta nastąpi pewno że dla niej swych studjów nie przerwie. Przeszły już czasy legjonów, dziś oczy wszystkich zwrócone są do ludu polskiego, gorąco pragnąc podniesienia go w oświacie i od niego też wyczekują rozkazów. Nie mówimy tu w ogóle o emigracji, bo emigracja nie jest żadnem ciałem, któreby się dało ująć w jakąś ogólną zbiorowość, aby coś o niej stałego powiedzieć można było, wszelako uwagi swoje stosujemy do jej przeważnej części — do młodzieży, która jest solidarnie związaną z młodzieżą kształcącą się, bo tylko brak odpowiednich zasobów pieniężnych rozdziela ich w pracy, pozostawiając przy wspólności uczuć i dążeń.

Przegląd naukowy, literacki i artystyczny.

— Pochowaliśmy w tych dniach znowu jednego z naszych uczonych, który pozostawił rodzinę w niedostatku, a w sercach współzawodników pamięć niepospolitych zdolności, nieznużonej pracy i niewynagrodzonych zasług około nauk. Mówimy o J a n i e W a g i l e w i c z u. Człowiek ten nie zwracał na siebie uwagi ogółu, a jednak posiadał on naukę głębszą, odznaczał się pracą gorliwszą i gruntowniejszą niż niejeden głośny z imienia uczony, i charakter dzielniejszy niż niejeden mąż, którego chwilowe usposobienie opinji postawiło w rzędzie przedstawicieli kraju. Nie jesteśmy w stanie podać wszelkich szczegółów mało znanego żywota, który jakoby umyślnie pozostawał w ukryciu ze swemi pracami, świetniejszemi zasługą niż rozgłosem.

J a n W a g i l e w i c z urodził się w r. 1811. Bliższe szczegóły jego młodocianego życia nie są nam wiadome. Poznaliśmy go bliżej w latach 1840 i poźniejszych, kiedy Bielowski, obaj Borkowscy, Magnuszewski pod-

jęli pracę żmudną, niebezpieczną w obec rządu, a mało przez kraj uznaną podniesienia ruchu literackiego u nas w kraju, pod obuchem cenzury i ówczesnej policji, której może tylko dzisiejsza moskiewska dorówna.

Prace historyczne, badanie początków słowiańszczyzny i polszczyzny, poszukiwania archeologiczne i filologiczne były ulubionym Wagilewicza zawodem. Miłośnictwo do tych przedmiotów podzielało wielu z Wagilewiczem w czasach, kiedy praca tego rodzaju może jeszcze najmniej narażała na prześladowanie policji, ale pod względem gruntowności i krytyki stanął Wagilewicz na równi z pierwszorzędnemi badaczami.

Prace jego drukiem ogłoszone, których bardzo mała jest ilość, świadczą już o głębszej znajomości przedmiotu, o którym opiewają, niżeśmy przywykli znajdować w pracach amatorów drapujących się togą uczoności. „Monastyr Skit w Mandawie“ albo „Gramatyka języka małoruskiego“, jedyne dwie książeczki, jakie w katalogach dzieł polskich pod imieniem Wagilewicza napotykamy, albo rozprawka w Albumie Lwowskiem (H. Nowakowskiego), nareszcie kilka uczonych artykułów w Dodatkach do Gazety Lwowskiej, są to drobne świadki wielkiej tego człowieka nauki, niepospolitych jego krytycznych zdolności i nieznużonej pracy. Znawca dopatrzy w tych drobnych pracach już owego bogactwa naukowego, jakiem obdarzony był Wagilewicz — nieznawca spojrzy mimochodem i zadziwi się chyba, że się komuś chciało na tak drobne rzeczy obracać swój czas i siły. Tymczasem były-to prace nakształt owych igraszek pędzla, które artyści przy wielkich obrazach, czasem dla próby po brzegach wyrabiają, a które same za siebie są dziełami niepospolitemi.

Wagilewicza nauka i praca należała do tych rozlicznych zawodów naukowych, które u nas nie popłacają, bo stoimy jeszcze o kilka gieneracji w tyle za owym stopniem wykształcenia, na którym wytrawna praca naukowa staje się dla narodu potrzebą. Dla tego też posługiwano się nim wszędzie gdzie potrzeba było pracy ciężkiej naukowej, a z czego sława często innym przypadała. Tak miał Wagilewicz, ile nam wiadomo, bardzo czynny udział w ułożeniu gramatyki staropolskiego języka przyłączonej do „Wypisów polskich,“ a bodaj czy cały ten „Przegląd form gramatycznych“ nie jest pracą Wagilewicza. Że on był jednym z głównych współpracowników przy drugiem wydaniu Słownika Lindego to mu przyznaje A. Bielowski w „Domówieniach“ do pojedyńczych tomów tego wydania. Wiadomo nam, że pierwsi badacze dziejów naszych, jak Bielowski i i. nieraz zasięgali w swych pracach jego pomocy. Nareszcie pozostawił on w rękopismie mnóstwo notat i dopełnień do dzieł starożytniczych i prac o dziejach słowiańskich lub polskich, a najcenniejszym z rękopismów byłyby może, jeżeli się jeszcze znajdują w spadku jego „Tablice synchronistyczne do dziejów powszechnych“, oparte nie na kompendjach, ale na źródłowych badaniach. Taki jest ogólny zarys literackiej czynności Wagilewicza. Lecz był on i pod względem publicznym niepospolitym człowiekiem, odznaczającym się stałością charakteru.

Syn ruskiego księdza i sam na ruskiego księdza wyświęcony nie mógł otrzymać długo parafji, bo mu świętojurcy wytykali jeszcze przed r. 1848 „że rozkopuje mogiły.“

Nie możemy zaręczyć, czy Wagilewicz śledząc za starożytniczemi zabytkami nie rozkopał tu i owdzie jakiej mogiły. Lecz za to ręczyć ośmielamy się, że uczone badania Wagilewicza i śledzenia dawnych zabytków Rusi nie plamiły charakteru kapłańskiego — a jednak to właśnie uznano za przeszkodę. Po długich nareszcie zabiegach otrzymał on parafję czy też kapelanję — ale w r. 1848 był on jednym z tych Rusinów, co nie uznawali moskiewszczyzny i nienawiści przeciw polszczyźnie za zbawienie Rusi, tylko przeciwnie. Przyjął on wtedy redakcję „Dnewnyka“ ruskiego, jedynego u nas pisma ruskiego, które było pisane prawdziwie ludowym językiem i popierało poczciwe, rusko-patrjotyczne dążności. Za to rzucili świętojurcy na niego anathema. Nieugięty charakter Wagilewicza nie uczynił ustępstwa dla podłego stronnictwa — przeszedł na wyznanie ewangielickie, żył w biedzie, pracował nieustannie dalej w raz obranym zawodzie i nie miał nawet przy końcu męczeńskiego żywota tej pociechy, aby zobaczyć rodzinę swoją zaopatrzoną w sposoby do życia. Słusznie powiedział pastor ewangielicki, exportujący jego zwłoki, że „żył i skończył jak na kapłana przystało“. *K. W.*

— „Kilka myśli dotyczących przyszłego urządzenia zakładu nauczycielskiego szkół ludowych podał dr. W. S. Kraków 1866“ str. 26. W broszurze tej zastanawia się autor nad wadami dotychczasowego urządzenia tak zwanych „preperand,“ tłumacząc, że ludzie fachowi skrępowani chlebowo przez politycznych szulratów nie mogą w sprawie tej publicznie głosu zabierać. Podnosi autor zależność dotychczasowych preperand jako poprzyczepianych do szkół normalnych, brak osobnego uposażenia i osobnych nauczycieli, brak widoków, co sprawia, że kandydatami są przeważnie prawie sami inwalidzi umysłowi, najfałszywszy system kwalifikowania i wysełania na wieś najniezdatniejszych kandydatów. Zakreśla następnie nie wdając się w teorje krótki zarys odpowiedniej organizacji tych zakładów, przy czem niektórym przedmiotom trochę za rozległy nadaje rozmiar, niezgodny z ogólną praktycznością podanych uwag. Żąda seminarjów nauczycielskich, praw akademickich dla kandydatów i proponuje żeby zakłady nauczycielskie po miastach mniejszych kwalifikowały tylko na wiejskich, a takowe po miastach większych na miejskich nauczycieli. Wniosek ten nie bardzo odpowiada wymaganiom sprawy oświaty i byłoby może stosowniej zaprowadzić, z pewnemi zmianami system przez komisję edukacyjną niegdyś z powodzeniem praktykowany, że każdy nauczyciel musiał przechodzić praktykę zawodu od najniższych szkół i dosługiwać się zdolnością i pracą awansu. Przypominam tę myśl, wiedząc że potrzebuje ona pewnych zmian i określeń, żeby niekrępowała i nauczycieli władz szkolnych. *A. S.*

— W roku bieżącym wyszła w Darmstadzie zajmująca książka „Wojowanie Polaków w r. 1863 (Kriegführung der Polen im J. 1863) przez Jana Franciszka v. Erlach, podpułkownika sztabu artylerji szwajcarskiej. Jest to właściwie sprawozdanie o wojskowości polskiej, złożone jako raport ministerstwu wojny. Wiadomość o tem podaje „Magasin für die Literatur des Auslandes“; jak zwykle tak i tu nie szczędzi nam pismo owe nauk moralnych o spokojnem zachowaniu się, ba nawet urągania się z smutnego dzisiaj położenia Nadwiśla, a sympatje autora dla Polski w śmieszność podawać się stara. O ile jednakże z recenzji takim duchem tchnącej wnioskować można, książka ta w przyjaźnym dla nas napisana duchu. Ciekawa — raz, że w niej autor choć pobieżnie ówczesne stosunki krajowe przedstawia, a świadectwo życzliwego cudzoziemca, jako bezstronnego sędziego w takiej sprawie, jest ważne; po drugie, że jest to jedyne znane nam dotąd dzieło strategiczne, o powstaniem z r. 1863 się zajmujące. Między innemi wychwala autor dzielność polskiej konnicy, przedewszystkiem zaś uwagę jego zajęli kosynierzy, a to do tego stopnia, iż radzi nawet Szwajcarom zaprowadzić u siebie używanie tej broni.

— Gazety Przemysłowej nr. 9 i 10 zawierają nast. artykuły: Pochylenie płaszczyzn dachowych jako pierwszy warunek trwałości dachów; Blacka przyrząd bezpieczeństwa przy kotłach parowych; Najnowszej konstrukcji wentylatory czyli dmiechy wiatrowe Schielego w Frankfurcie nad M.; Szkodliwe następstwa z wyniszczenia lasów w okolicach górzystych; Pierwsze galicyjskie towarzystwo akcyjne rektyfikacji i wywozu spirytusu; O potrzebie zakładania fabryk lokomotyw; Ambona w kościele OO. Franciszkanów w Krakowie; O skuteczności wytworów mąki kościanej (przez dr. Pinkusa; Pałasze rewolwerowe; Karafka do szybkiego oziębiania napojów; Najnowsze doświadczenia co do uprawy rzędowej; Rozmaitości.

Od redakcji.

Upraszamy tych szanownych pp. Prenumerantów, którzy nie dopłacili dotychczas należytości za bieżący kwartał, a pomimo tego TYGODNIK odbierają, ażeby się raczyli w tym miesiącu uiścić, gdyż musielibyśmy z następnym numerem zaprzestać im posyłać pismo nasze.

Wydawca i odpow. redaktor **Bronisław Zamorski.** Główny współpracownik **Karol Widman.** Z drukarni E. Winiarza.